

Dziś w numerze: ● R. PAWLAK *Tryptyk z Młociną* ● B. MADEJ *Pod znakiem żurawia*
 ● J. WILMAŃSKI *„Dimanche en Orly“ po polsku.* ● J. KOPRÓWSKI *Spóźnione wspomnienie o Jerzym Zawieyskim*
 ● M. SIRA *O dwóch takich co ukradli...* ● M. WAWRZKIEWICZ *Uczmy się od przyjaciół*

odgłosy



30 (523)
 27. VII. 1969 r.
 Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



Foto:
 Marian
 Kobrzyński

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

CZY NAJLEPSI?

(Artykuł dyskusyjny)

Na tablicach ogłoszeń łódzkich wyższych uczelni ukazały się już listy kandydatów przyjętych na pierwszy rok studiów. Niestety, groźno zawiedzionych w swych nadziejach życiowych jest znacznie liczniejsza od tych, którzy otrzymują jesienią studenckie indeksy.

W warunkach bezpłatności nauki, ogromnej rozbudowy szkolnictwa średniego, umożliwienia absolwentom techników i studiów zawodowych wstępu na wyższe uczelnie wszystkich kierunków, egzaminy wstępne stały się koniecznością.

Wśród legitymujących się wykształceniem średnim jest bowiem poważny odsetek takich, którzy nie podolają wymaganiom szkół wyższych, odpadną w toku studiów, a więc w ich własnym interesie, jak też w interesie społecznym musi istnieć selekcja kandydatów. Jed-

nakże wylania się pytanie: czy istniejący system egzaminacyjny rzeczywiście zapewnia wstęp tym najlepszym? Czy w gronie „zawiedzionych” nie znajdują się także i ci, którzy mogliby okazać się dobrymi studentami? Czy wreszcie na wstępie szkółom wyższym proceder egzaminacyjny zapewnia w maksymalnych granicach możliwości eliminacji najbardziej przydatnych do studiów?

Ze względu na olbrzymie zróżnicowanie szkół wyższych nie może być mowy o jedynej formie egzaminu wstępnego. W szkołach artystycznych decydującą rolę odgrywają uzdolnienia plastyczne, muzyczne czy aktorskie. Kandydat na architekturę poza opanowaniem matematyki musi także wykazać się zdolnościami rysunkowymi, a ubiegający się o przyjęcie do wyższych technicznych szkół wojskowych powinien

obok bardzo dobrego stanu zdrowia posiadać także objęte programem szkolnym wiadomości z zakresu nauk ścisłych, jak i odpowiednie dyspozycje psychiczne.

Obecnie istnieje kilka typów egzaminów do szkół wyższych odpowiadających różnym rodzajom szkół. Natomiast we wszystkich uczelniach wyższych podległych Ministerstwu Oświaty i Szkolnictwa Wyższego obowiązuje wspólny schemat egzaminacyjny, polegający na sprawdzeniu stopnia przyswojenia przez kandydata wiadomości objętych programem licealnym z dwu przedmiotów uznanych za szczególnie ważne dla danego kierunku studiów. Nadto wszystkich kandydatów obowiązuje egzamin z języka obcego. Można więc mówić o swego rodzaju powtórzeniu matury, tyle że przed komisją całkowicie nieznaną kandydatowi.

Kandydat z góry musi wybrać kierunek studiów „zgodnie z zamiłowaniem i uzdolnieniami”. W praktyce także często słabsi absolwenci liceów ubiegają się o przyjęcie na ten wydział, który im wydaje się (często mylnie) po prostu łatwiejszym. Poważną grupę stanowią także liczący na przyszłowiełe szcze-

IRENA DRYLL

BOGACTWO W DRODZE DO ŁÓDZI

Łódź stoi w obliczu wielkiej szansy. Szansy unowocześnienia i intensywnego, wszechstronnego rozwoju. Szansy zwielokrotnienia tempa korzystnych zmian, jakie od ćwierćwiecza są jej udziałem.

Gorszy od innych z racji kapitalistycznego spadku „punkt wyjścia” w wielu dziedzinach i określone potrzeby zniszczonego kraju sprawiły, że zmiany te nie mogły być na miarę potrzeb miasta. Mimo więc systematycznego rozwoju, nie jest ono w stanie — pod pewnymi względami, dogonić innych.

Wiele wskaźników po których poznaje się sytuację przemysłu i poziom rozwoju miasta, lokuje Łódź na najmniej korzystnym miejscu wśród wielkich, a w pewnych wypadkach nawet niewielkich miast Polski. I właśnie to najlepiej świadczy o historycznej doniosłości szansy, jaka ją czeka...

Zacznijmy od aktualnych możliwości łódzkiego przemysłu. Podstawowe łódzkie „naj”, którego wszystkie inne są w dużym stopniu pochodną, to najbardziej jednostronna struktura przemysłowa. Żadne miasto ani województwo w Polsce nie ma gałęzi przemysłowej w takim stopniu dominującej nad innymi jak włókiennictwo w Łodzi. Jego udział w całości produkcji globalnej miasta, mimo systematycznego, względnego spadku, wynosi wciąż jeszcze ok. 50 proc. Łącznie z przemysłem odzieżowym i skórzanym oznacza to, że w 58,6 proc. produkcja przemysłu łódzkiego jest produkcją przemysłu lekkiego. I stan tego przemysłu — sfatygowanego, spracowanego i mimo częściowej modernizacji w sumie przestarzałego i nadmiernie eksploatowanego (zmiannowość 2,58) wpływa decydująco na cały łódzki przemysł i łódzką gospodarkę. Nie ratuje sytuacji fakt, że w latach 60—67 przemysł elektrotechniczny zwiększył swą produkcję 3,5 raza, a maszynowy i chemiczny ok. 2,5 raza skoro ich udział w dalszym ciągu w całości produkcji jest nieduży. Daleki od dojrzałości stan techniczny przemysłu łódzkiego wpływa niewątpliwie na inne „naj” — najwyższy w kraju wskaźnik zatrudnienia. Na 1000 mieszkańców przy przeciętnej krajowej równej 100 w Łodzi — 231,3, to jest od 50 do 80 więcej niż w pozostałych miastach wydziałowych. Innym łódzkim „naj” jest najniższa dynamika wzrostu produkcji, niższa od lat od przeciętnej krajowej i pozostałych miast wydziałowych. Przyjmując produkcję roku 1960 za 100 proc. jej wzrost w latach 60—67 wyniósł średnio w Polsce 173,9 proc., w Łodzi 139,2 proc., w Warszawie 193,8 proc., w Krakowie 189,2 proc., we Wrocławiu 180,8 proc., w Poznaniu 167,4 proc.

Równocześnie spada udział przemysłu łódzkiego w produkcji krajowej — z 7,4 proc. w roku 1958 do 6,1 proc. w ro-

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 2



Los komentatora w tygodniku bywa niekiedy nie do pozazdroszczenia. Dzieją się bowiem rzeczy wielkie, które w chwili ukazania się pisma w sprzedaży będą bez reszty zaprzętać uwagę czytelników, a komentator nie może ich aktualnie omówić. Wynika to z procesu przygotowawczego do druku i konieczności wcześniejszego zamknięcia numeru, jeśli ma on bez opóźnień dotrzeć do rąk czytelników.

Taka sytuacja ma miejsce właśnie w bieżącym tygodniu. Wielkie uroczystości 25-lecia PRL z udziałem najwyższych przedstawicieli sąsiadujących z Polską krajów oraz lot statku kosmicznego „Apollo 11” na Księżyc ze śmiałym programem wyjścia amerykańskich lunanautów na jego powierzchnię — to najważniejsze wydarzenia ostatnich dni. Powrócimy do nich, dziś natomiast dokonamy przeglądu innych wydarzeń ostatniego okresu.

Od pewnego czasu w amerykańskiej prasie codziennej i tygodniowej mówi się o możliwości rychłych rozmów ze Związkiem Radzieckim na temat rozbrojenia. Administracja Nixona, która właśnie kończy swe pierwsze półrocze urzędowania, okazuje podobno żywe zainteresowanie dialogiem z ZSRR. Nixon chce w ten sposób wykazać, że przystępuje do realizacji swej wyborczej zapowiedzi, iż po erze konfrontacji nadchodzi teraz era rokowań.

Prasa amerykańska nie ukrywa jednak, że Stany Zjednoczone nie mają jeszcze gotowego programu rozmów i że jego przygotowanie zależy będzie m. in. od przebiegu senackiej debaty na temat systemu obrony przeciurakietowej, a także wyników azjatyckiej podróży prezydenta.

Ta sama prasa w związku ze wspomnianym półroczem prezydentury pisze, że Nixon nie ma mocniejszego oparcia w kongresie i jego postępowanie jest ciągłą próbą unikania zadrażeń. Wykorzystują to koła wojskowe i wielkiego przełomu, które wywierają na niego duży wpływ. Stąd też trudno przewidzieć, jakie będzie jego dalsze postępowanie, a tym bardziej — program rozbrojenia. Równocześnie jednak podkreśla się, że w ciągu pierwszych sześciu miesięcy sprawowania funkcji prezydenckiej Nixon nie pozwolił żadnej decyzji, która by zastrzegła stosunki z ZSRR.

Niezdecydowaniem prezydenta trzeba podobno tłumaczyć przedłużające się rokowania w Paryżu. Nixon — według tych samych źródeł — nie ma wciąż planu zakończenia wojny wietnamskiej. Decyzje o wycofaniu z areny wojny części amerykańskich oddziałów były obliczone tylko na uspokojenie opinii publicznej i nie stanowiły elementu jakiegokolwiek programu działania.

Tymczasem w Paryżu odbyło się już 26 plenarne posiedzenie czterech rokujących stron, nie stety w dalszym ciągu bez rezultatu. Przewodnicząca delegacja Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego odrzuciła zdecydowanie propozycję tzw. wolnych wyborów, które w myśl wniosku reżimu sajskiego miałyby odbyć się przed wycofaniem wojsk amerykańskich z Wietnamu. Rzecz znamienna — propozycja ta zgłoszona została przez reżimową delegację w czasie, kiedy sajski wiceprezydent — Cao Ky publicznie oświadczył, że reprezentowane przez niego władze nie uznają ani jednej koncesji na konferencji paryskiej. Wymownie określa to wartość sajskiego wniosku.

Bez widocznego postępu toczą się również rozmowy konsultacyjne w sprawie Bliskiego Wschodu. Nowym elementem jest wizyta w Moskwie wysłannika sekretarza stanu USA — J. Sisco, który przeprowadził dłuższe rozmowy z min. Gromyko i innymi przedstawicielami radzieckiego MSZ. Zdaniem agencji zachodnich — nie przyniosły one „ani przełomu, ani zwrotu”, chociaż miały charakter „poważny, rzeczowy i szczerzy” i przyczyniły się do zmniejszenia rozbieżności.

W najbliższym czasie mają być podjęte dalsze rozmowy radziecko-amerykańskie. Jednym z ich celów jest podobno wznowienie misji mediacyjnej Jarringa. Rozwój wydarzeń w rejonie Bliskiego Wschodu nie upoważnia jednak do optymizmu.

W kolejności poświęćmy nieco uwagi sytuacji we Włoszech. W ub. tygodniu wyjaśniliśmy przyczyny trzydziestego w okresie powojennym kryzysu rządowego w tym kraju. Pisaliśmy również, że prezydent Saragat rozpoczął badanie możliwości utworzenia nowego rządu koalicyjnego. Jak się okazuje, misję powołania kolejnego gabinetu otrzymał znów Rumor. Powodzenie jego prób zmontowania rządu na dotychczasowej płaszczyźnie politycznej jest więc wątpliwe.

Tymczasem — jak donoszą nasi korespondenci — na murach miast włoskich pojawiają się napisy, nawołujące do przejścia władzy przez wojsko. Jest to przejaw działania sił skrajnej prawicy, która zmierza do zamachu stanu. Wprawdzie nie wydaje się, aby obecnie we Włoszech mogło dojść do pozaparlamentarnych rozwiązań, jednak działania kół prawicowych nie można lekceważyć. Sytuacja we Włoszech jest poważna i będziemy ją bacznie obserwować.

W. SLAWSKI

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

CZY NAJLEPSI?

Dalszy ciąg ze str. 1

ście. Nie powiedzcie się egzamin do AWF, próbując składać na ekonomię, by za trzecim czy też czwartym razem deklarować swe zamiłowanie dla archeologii lub prawa.

Studia na politechnikach są oceniane przez młodzież jako trudne. Stąd dość często spotykałem się z wypowiedzią: „na politechnice przepadną, a na ekonomii lub prawie jakoś przeleżą”. To „jakoś” staje się bardzo często także zawodne.

Na każdym z kierunków studiów liczba ubiegających się o przyjęcie znacznie przewyższa ilość miejsc. Każdego roku jakieś studia cieszą się szczególną popularnością i ilość chętnych 3—5-krotnie przewyższa liczbę miejsc (np. pedagogika, archeologia, socjologia, mechanika, architektura). Równocześnie na różnych kierunkach przeciętny stopień opanowania materiału naukowego przez kandydatów jest nader różny.

W wyniku egzaminów tworzą się trzy grupy wśród zdających. Ci, którzy egzamin zdali i zostali przyjęci, ci, którzy egzamin zdali (a więc nadają się na studia wyższe), ale z braku miejsc pozostali „na lodzie”, wreszcie ci, którzy egzaminu nie zdali, a więc zostali zakwalifikowani do grupy nie nadających się do rozpoczęcia nauki w szkołach wyższych.

Zjawiskiem ciekawym, powtarzającym się od lat, jest to, że na niektórych kierunkach grupuje się młodzież specjalnie dobrze przygotowana do egzaminów, na innych zaś przeważa tzw. „przeciętniak” lub „szczęściarz”. Przyjęcie na psychologię lub pedagogikę gwarantuje dopiero uzyskanie na egzaminie ocen bardzo dobrych, podczas gdy na historię lub chemię uniwersyteckiej wystarcza ocena dostateczna. Na niektórych kierunkach w praktyce egzamin konkursowy przekształca się w egzamin sprawdzający tylko przydatność do studiów wyższych.

Co prawda osoby, które egzamin złożyły, a nie zostały przyjęte z braku miejsc, mogą dostać się na te kierunki, gdzie nie wypełniono limitu przyjęć, pod warunkiem, że przedmiot egzaminów były takie same. W praktyce jednak przesunięcia mają charakter ograniczony, gdyż na wszystkich kierunkach liczba kandydatów przewyższa liczbę miejsc.

Sytuacja tych, którzy egzamin zdali i nie zostali przyjęci jest najbardziej godna pożałowania. Przecież na studia nadają się i bardzo często posiadają większy zasób wiadomości od tych, którzy zostali studentami tylko dlatego, że na ich kierunku ogólny poziom zdających był

wodzeniem studiować zarówno filologię polską jak i historię czy prawo.

Wydawałoby się, że dla kandydata na chemię uniwersytecką najważniejszym przedmiotem jest chemia. Tymczasem duży odśiew na I roku studiów chemicznych powoduje niezaliczenie lub oblanie matematyki, zaś z chemią pierwszorocznicy radzą sobie nie najgorzej.

Do niedawna kandydatów na historię obowiązywały egzaminy z historii i polskiego. Później zamiast polskiego wprowadzono egzamin z geografii. Pomimo tych zmian nie dało się zaobserwować jakichkol-

ogólna selekcja kandydatów, wydaje mi się, byłaby bardziej sprawiedliwa niż obecnie.

Na niektórych kierunkach, na to, by zostać studentem, trzeba uzyskać 20—22 punkty egzaminacyjne, podczas gdy na innych wystarczy już 12.

Jeśli zaś chodzi o tzw. zamilowania siedemnastolatków, to nie fetyszujemy tego zagadnienia. Jakże często kandydat nie umie dać przekonującej odpowiedzi dlaczego właśnie wybrał socjologię, pedagogikę, a nie prawo bądź ekonomię. Zamilowania do przedmiotu studiów rodzą się także często w toku samych studiów.

Rozważana przeze mnie możliwość ogólnych egzaminów kierunkowych na pewno nastrożyłaby, zwłaszcza na uniwersytetach, wiele trudności typu organizacyjno-administracyjnego, lecz jej zaletą byłoby właśnie eliminowanie najzdolniejszych.

Dotychczasowy egzamin w zasadzie stanowi sprawdzian opanowania materiału objętego programem szkoły średniej. Częściowo kandydat ma także możliwość popisanie się inteligencją. Natomiast członkowie komisji egzaminacyjnych nie mają możliwości sprawdzenia dyspozycji psychicznych zdającego — zdolności do kojarzeń, stopnia koncentracji uwagi, pojemności pamięci itd. A więc kwestią otwartą pozostaje wprowadzenie testów psychologicznych. Stanowią one bardzo ważny sprawdzian przydatności do studiów wyższych i zostały wprowadzone w wielu krajach.

Żyjemy w epoce, kiedy o rozwoju i pozycji danego państwa w świecie decydują kadry wysoko wykwalifikowanych pracowników. Dla statystyka najważniejszą rzeczą jest ilość obywateli z dyplomami, natomiast dla gospodarki narodowej o wiele ważniejsza jest wiedza, która kryje się poza dyplomami. Należy więc wszystkie wysiłki skierować na zrealizowanie możliwości postawienia znaku równości między ilością wydanych dyplomów a jakością kadr, które rękoczynnie wkraczają w „życie produkcyjne” PRL.

Łodzianie w karykaturze



JAN PAKUŁA

dyr. Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia

Rys. IBIS-GRATKOWSKI

W następnym numerze „Odgłosów“

- Historia o młodości, której nie ma
- Jedziemy na wczasy
- Tajemnice dyplomatycznych sejfów
- Dwugłos o wiejskim kinie
- Nowela kryminalna

niższy. Sytuacja tych, którzy egzamin zdali i nie zostali przyjęci wywoływała i wywołuje wśród pedagogów ożywione dyskusje, dotychczas o charakterze ściśle prywatnym. Za chęcią ona również i mnie do równie ściśle prywatnego i osobistego przedstawienia uwag nie mających żadnego charakteru oficjalnego.

Kandydat do szkół wyższych, pomijając szkoły artystyczne, czy też tak specjalne jak AWF, wykazują się zamilowaniami i możliwościami studiów na kierunkach: 1. humanistycznym i nauk społecznych; 2. nauk matematyczno-fizycznych; 3. nauk z zakresu biologii i geografii. Podstawowe wiadomości z języka obcego są konieczne dla kandydatów bez względu na ich zamilowania kierunkowe.

W tej sytuacji może byłoby rzeczą słuszną w zależności od wymienionych trzech grup zainteresowań, a zarazem i uzdolnień, wprowadzić trzy podzaje obowiązujących egzaminów wstępnych. Ścisłejsze zróżnicowanie przedmiotów w ramach grup nie jest istotne. Kandydat, który złożył dobrze egzamin z historii i polskiego może z po-

wiek różnic w toku studiów pierwszolatków.

Tego rodzaju przykłady można mnożyć na potwierdzenie faktu, że wśród kandydatów dominują i wyróżniają się zasadniczo trzy typy zainteresowań: humanistyczne, przyrodnicze i matematyczno-fizyczne. Dlatego selekcja na studia powinna iść równolegle w trzech wymienionych „specjalizacjach”.

Egzamin na szeroko pojęty kierunek nauk na pewno nie jest formą najdoskonalszą, ale pozwoliłoby na wyeliminowanie z masy kandydatów naprawdę najlepszych bez przypadków tłoku na danej specjalności. W warunkach istnienia tylko trzech odmian egzaminów wstępnych sprzyjowanie szczegółowego kierunku nastąpiłoby po zakończeniu procesu kwalifikacyjnego.

Kandydat na neofilologię musiałby dodatkowo wykazać się dobrą znajomością wybranego języka obcego, a przyszli ekonomiści opanowaniem podstaw matematyki. Lecz

Tryptyk z Mtacmindą

I.

Pierwsze zachwycenie. Jest noc, nad głową bezmiar czarnego nieba, pod stopami bezkresna przestrzeń wibrująca milionami światel. Poezi powiada, że tam w dole jest odwrócone niebo. Ale ich słowa są bezradne. Ta włkna czarna nicieścił inkrustowana wszystkimi kłębami światła wchłonie wszystko, każde słowo, każdy dźwięk i obraz. Nie stąd nie można zabrać, trzeba tylko wracać i patrzeć.

Tbilisi o północy, widziane z góry Mtacmindy. Później będzie dzień, czterdziestostopniowy upał, blask słońca trudny do zniesienia. Święta góra Gruzini patrząca na piętnaście wieków stolicy otworzy się by pokazać swoje serce. Pantheon narodowy. Dwie białe, murywane cerkiewki, poczerwiałe zielenie strzelistych cyprysów i ogromna cisza.

W niszy skalnej grób Aleksandra Gribojedowa. Bogowie umierają młodo. Żył 34 lata, zginał zamordowany w Teheranie. Zdążył wziąć udział w wojnie 1812 roku, być dyplomatą w Persji, przeżyć aresztowanie w związku ze sprawą dekabrystów, napisać utwory dramatyczne, wśród których było słynne „Madre mu biada”. Gruzini otaczają go wielką czcią, uważają za przyjaciela swego narodu.

Kilkanaście kroków ścieżką pod górę i już jesteśmy na małym cmentarzu otaczającym cerkiewki. Spoczywają tu pisarze, poeci, muzycy, pedagodzy, działacze ruchu rewolucyjnego. Cmentarz ludzi, ale nie idei, które głosili, którym byli wierni. Matka Gruzja płacze nad stratą syna — pomnik pisarza I. Czawczawadze. Na innym grobowcu wyryto tylko imię — Akaki. Jego wiersze są własnością wszystkich mówiących i myślących po gruzińsku, on jest jednym z nich, bratem, przyjacielem, po prostu — Akaki. Historyk literatury zanotuje: „W drugiej połowie XIX wieku pisarze I. Czawczawadze i A. Cereteli stali się duchowymi przywódcami ruchu narodowowyzwoleńczego”.

Teraz spojrzenie w dół, z tej płaszczyzny na górę, z tego miejsca, gdzie matka Gruzja płacze nad utraconymi dziećmi. Mozaika dachówek, przyszarzone czerwienią kwadraczków i prostokątów dachów wklejone w lekko szarzącą zielen drzew. Blżej mozaika opada w dół, w środku żółci się rzeka Kura, zwana przez Gruziniów Mtkwari, dalej wszystko podnosi się, ginąc w bładniebieskiej mgiełce. Półokrąg horyzontu zamykają grzbiety gór.

Będzie jeszcze inny pejzaż tego miasta, notowany w pamięci o godzinie poprzedzającej zmierzch, w punkcie widzenia pozwalającym spojrzeć jakby wzdłuż rzeki. Będzie to pejzaż ujmujący miasto w trudną do opisanie kompozycję, trudną, bo objęcie jej wzrokiem tu, na miej scu, staje się możliwe. Nadmiar przestrzeni i piękna. Góry stojące w fiolecie i niebieskościach ciemniejszego

nieba są jednocześnie blisko i daleko. W dole kobierzec utkany z ulic, ogrodów, domów. Każdy szczegół rysuje się ostro i trójwymiarowo, a jednocześnie zetraca się w całości obrazu. Krótki czerwony błysk rubinu. Ktoś, tam w dole, zamknął okno, szyba odbiła ostatni promień słońca.

Stoimy w grupie gruzińskich przyjaciół. Patrzymy i milczymy. Wreszcie któryś z nich mówi kierując wzrok ku młastu: „Dlatego warto żyć...”.

II.

Najnowszy twór, czy może odkrycie naszej epoki — hologram. Można to było zobaczyć w Łodzi. Szklana szybka, przez którą przeszedł promień laserowego światła, niosący obraz utrwalonego przedmiotu. Ten obraz jest niezniszczalny. Można rozbić szybki na drobne kawałki, w każdym z nich będzie ten obraz. Czar na magia współczesnej fizyki. Ale to można pojąć, to ma swoje racjonalne wytłumaczenie, to nam może objaśnić uczonego. Jak jednak pojąć magię sztuki, dzieł niosących ślad duchowego bogactwa człowieka?

Ikony Chachulskiej czas odjął postać, historia rozniosta po muzeach świata jej cząstki, a przecież wystarczy zarys dłoni, fragment twarzy, oczy patrzące w wieczność ze spokojem istoty, która wie wszystko, aby to kwantum piękna i idei, które przez lata pracy nad dziełem włożono osiem wieków temu, było żywe i wzruszające dzisiaj. Z podziwem patrzy się na środkową szczerolotą część tryptyku, w którym tkwi ikona, bogato i mistrzowsko zdobiona, inkrustowana drogocennymi kamieniami, patrzy się na srebrne, złoczone skrzydła, na całość imponującego dzieła zawierającego dwadzieścia miniatur wykonanych w arcyzadkowej emalii, ale przecież wzrok wraca do twarzy i rąk, do istoty całego zjawiska.

Nie, nie zapamiętam na czym polegały różnice trzech szkół malarstwa ikon w XII czy XIII wieku w Gruzji — Tbeti, Gelati, Opisa, jak w każdej z nich trak-

towano motywy zdobnicze. Nie zapamiętam na jakiej zasadzie zestawia się trzy ikony w grupę nazywaną „deisi”, o czym tak pięknie mówi młoda przewodniczka w Muzeum Sztuki w Tbilisi. Ale zapamiętam ten przelotny uśmiešek wyższości z jakim wspominała, że dawni artyści jej kraju zawsze uważali, iż srebro złoczone jest bardziej szlachetnym tworzywem niż złoto, którego Wschód w większym stopniu używał dla pysznienia się bogactwem, niż mistrzostwem artystycznego rzemiosła.

I jeszcze to — w sztuce bizantyjskiej obowiązywała symetria, hieratyczność kompozycji, bezosobowość twarzy portretowanej postaci, w gruzińskiej zaś była asymetria, unikanie schematycznych układów, podkreślanie elementów ruchu. Może duch i charakter narodu są jak to szkło hologramu? Nie zmoją go wojny i najazdy, wieki niewoli i lata walki, nie zmoże czas, przemiany cywilizacji. Do dziś zostało przecież w Gruzjach umiłowanie sztuki. W tańcu — poczucie elegancji i stylu, w poezji — wiara w moc twórczą i sprawczą słowa, w obyczajach — konwencja biesiady, która z uciech stołu czyni duchowe przeżycie, gościnność, która jest sprawdzianem ludzkiej godności.

Nasza uczta miała się już ku końcowi. Wszedł kucharz, zapytał czy smakowało. Powiedziano mi, że to drugi w kraju mistrz różna i patelni. Wstał tamada, przewodniczący biesiadnego zgromadzenia w długiej i kwiecistej mowie chwalił mistrza, ten stojąc u końca stołu trzy miał kielich z winem, kłaniał się bez przerwy, rękę przykładając do serca, oczy mu mgłą wzruszenia zasłyły. Słuchał tak, promieniając przez wiele minut w radości dobrze spełnionej roboty, aż wreszcie dano mu znak i przemówił.

Byliśmy więc najwspanialszymi ludźmi pod słońcem, gośćmi godnymi najwyższego szacunku, ludźmi dla których pracować było najwyższym zaszczytem, którzy wiedzą co to jest gruziński stół i którzy mogą być przyjaciółmi, których się kocha i poważa. Wypiliśmy za chwałę stołu gruzińskiego.

III.

Przyjeżdżamy w obce strony z własnym wyobrażeniem świata, z bagażem doświadczeń i refleksji, które udało nam się zdobyć w ciągu żywota w określonym punkcie geograficznym, w danym nam czasie wyjętym ze strumienia bytu. Nasza góra, w której śpią rycerze, nazywa się Giewont. Tu nagle okazuje się, że są inne góry, inni rycerze, inne legendy, codziennie też zupełnie inna.

Historia, której się nie jest współuczestnikiem, nie może zbyt łatwo zawładnąć umysłem i wyobraźnią człowieka obcego, przybysza z innych stron. I nie ma tu chyba nic do rzeczy ani dobra wola, ani nawet opanowanie pamięciowe podstawowych faktów. Myślę, że tylko wówczas, gdy dzień dzisiejszy, jego barwę i smak, jego podskórny nurt potrafimy umiejscowić w tym co było przedtem, wczoraj czy przed wiekami i w tym co będzie jutro, można mówić o zrozumieniu historii drugiego narodu.

Cała ta dygresja może potrzebna jest mi po to, by bronić się przed tym powierzchownym snuć analogii między losami naszych narodów, które staje się osnową przyjaznych gestów i źródłem głębokiej wzajemnej sympatii. Bronię się nie żeby osłabić uczucie przyjaźni, lecz by budować je na trwalszych i głębszych fundamentach. Może bowiem zdarzyć tak jak z przepięknym, luksusowo wydany w Paryżu albumem poświęconym gruzińskiej sztuce, prezentowanym mi przez autora.

Tekst wyszedł spod pióra Sz. I. Amnarszwili, dostojnego akademika, wybitnego uczonego, dyrektora Muzeum Sztuki w Tbilisi, którego monumentalna „Historia sztuki gruzińskiej” ma być wydana jeszcze w tym roku w Polsce. Przed chwilą widziałem krzyż legendarnej królowej Tamary — szlachetny w kolorze i umiarze kompozycji, skromny i wspaniały. Teraz leży przede mną barwna, znakomita podobizna oryginału, szczyt techniki drukarskiej. Niby to sa-

mo, a jednak ginie gdzieś ta rzecz nieuchwytna — skromność we wspaniałości. Blichtr i elegancja albumowej edycji gubi to co oryginał miał najcenniejszego. A przecież fotografia była nieprawdopodobnie wierna pierwowzorowi.

Mój gruziński przyjaciel, Gogi Kalszauri, kaukaski górca z dumą podkreślający, że nosi nazwisko brzmiące tak jak się nazywa wieś i dolina w której się urodził, a nazwę tę można znaleźć w utworach Lermontowa, dzień w dzień zasypuje mnie tysiącami informacji o swym kraju. W tym morzu faktów są rzeczy ważne i zupełnie drobne, krajoznawcze góry wpisane w biografie i twórcy poetów obok nazw tradycyjnych potraw, imiona znakomitości historycznych obok nazwisk przechodniów, z których każdy jest dla Kalszauri przyjacielem i „osobą cenioną w społeczeństwie”, zasłużoną, godną poznania i zapamiętania. Są w tych informacjach słowa pierwsze: „dada” (matka), „puri” (chleb) i słowa: „gogo” (dziewczyna), „clmaty” (ziółko anyżkowe czyniące ponoć dziewczęta czuły dla chłopców).

Gogi instynktownie czuje, że w tym wirze, w którym się miesza przeszłość z teraźniejszością, rzeka czasu z rzeką samochodów płynącą prospektem Szota Rustaweli, zachodzi ścisły związek. Najnowocześniejszy hotel, który mógłby stać równie dobrze w Nowym Jorku, Paryżu czy Rzymie, bo swą architektoniczną formą stanowi znak wywoławczy naszej wspólnej, dwudziestowiecznej cywilizacji, ma nazwę niepowtarzalną i jedyną, tujejszą, umiejscawiającą to cudo architektury w historii, pejzażu tego kraju i miasta: „Iveria”. Z dźwiękiem tego słowa cofamy się o dwadzieścia cztery stulecia w czasy legend i mitów starogreckich, a więc do Iberii i Kolchidy. W tym tuku dziejów, w jego cięciwie zrywanej w ciągu wieków przez plemiona jońskie, perskie, arabskie, mongolskie i jakie tam jeszcze, mieszczonej i Gruzję czasów króla Dawida Budowniczego i królowej Tamary — jest wczoraj, dziś i jutro tego kraju. Dziś i jutro, bowiem tradycja i historia jest tutaj wartością współczesną, częścią składową osobowości ludzkiej, składnikiem jej mentalności. Czasem zapewne jest siłą sprawczą działania, wartością moralną pomagającą w budowaniu, jutra, w wychowaniu nowych pokoleń, budzeniu w nich poczucia głębokich więzi społecznych. Być może ta tradycja i historia bywają przeszkodą, mają swoje złe strony, o których w odniesieniu do naszej historii i tradycji, do naszych własnych spraw tyle wiemy.

Gogi Kalszauri uważał za swój obowiązek być codziennie na spektaklu naszej opery, on chciał się zanurzyć w polskość, tak jak i ci wszyscy mieszkańcy dalekiego kraju, którzy trudzą się, by poznać język polski, a jest ich doprawdy zdumiewająco dużo. Gogi, którego syn i żona — Polka — mieszkają obecnie w Warszawie, powiedział mi na pożegnanie, że Polska wychowa dobrze jego syna, ale on pozostanie „mimo to” Gruzinem, a może właśnie „dzięki temu”. Trudno o bardziej zniewalający dowód zaufania i przyjaźni.

Bogactwo w drodze do Łodzi

Dalszy ciąg ze str. 1

ku 1960 do 4,8 proc. w 1967. Istotnym wskaźnikiem pozycji Łodzi na przemysłowej mapie kraju wydaje się także udział w ogólnych nakładach inwestycyjnych. W r. 1950 wynosił on 3,4 proc. w r. 1960 — 3,1 proc., w 1965 — 2,2 proc. Jeśli np. wartość nakładów na jednego mieszkańca Łodzi w r. 1961 wyniosła około 121 proc. średniego wskaźnika krajowego, to w 4 lata potem spadła już do 95 proc. W latach 1950—67 do Łódzkiej gospodarki uspołecznionej wpłynęło 39,3 miliarda inwestycyjnych złotych, tj. trzy razy mniej niż do warszawskiej. Ze stolicą trudno porównywać, trudno i z miastami wydzielonymi, jako że statystycznie wydziela się je dopiero od 1957 r. Jeśli jednak dla ilustracji liczbowej porównamy Łódź z województwem łódzkim — także się, iż cały region w tychże latach otrzymał około 85 mld zł, zaś re-

gion poznański (z Poznaniem) 98,5 mld, wrocławski z Wrocławiem — 107 mld, krakowski 138,5 mld, a katowicki np. 250 mld.

Z inwestycyjnych proporcji i priorytetów wynika kilka innych łódzkich „naj” obrazujących aktualny stan posiadania przemysłu:

* Najniższa jest wartość środków trwałych. Zarówno w przeliczeniu na jednego mieszkańca (w r. 1967 wyniosła ona w Łodzi 69,6 tys., w pozostałych miastach wydzielonych od ok. 80 tys. do ponad 100 tys.) jak i na 1000 zł produkcji globalnej (492 zł w Łodzi, 853 zł w kraju, w innych miastach od 600 do 800 zł), co obrazuje tzw. materialność czyli stan wyposażenia technicznego.

* Najwyższy i stale pogłębiający się jest natomiast stopień zużycia środków trwałych. W r. 1967 średnie ich zuży-

cie w uspołecznionym przemyśle krajowym wyniosło — 41,2 proc. (w tym budynków — 33,1 proc., maszyn i urządzeń technicznych 51,4 proc.), w przemyśle łódzkim natomiast 53 proc. (budynków — 41,8 proc., maszyn 82 proc.). Stopień zużycia w Warszawie wynosił 37 proc., w Krakowie np. 32,4 proc. O wiele wyższy od wszystkich możliwych średnich — i tak przecież „średnio” — dokładnie odbijających sytuację, jest stopień zużycia środków trwałych w łódzkim przemyśle włókienniczym — 64,3 proc. Jednocześnie łódzki przemysł wykazuje najwyższą akumulatywność. Sądząc z danych „Rocznika Finansów”, nie ma w Polsce takiego miastu lub województwa, które by w przeliczeniu na jednego mieszkańca wytwarzało tak wysoką jak w Łodzi nadwyżkę ekonomiczną.

☆ Do tego stanu posiadania nie sposób nie dodać ilości kadry inżynieryjno-technicznej. I pod tym względem Łódź legitymuje się najniższym wskaźnikiem. Na 100 robotników przypada 10 pracowników inżynieryjno-technicznych, w Polsce zaś średnio 12, w miastach wydzielonych od 13 do 19. Najniższy też jest odsetek uczniów w przemyśle uspołecznionym — 3,4, przy średniej w Polsce 6,2.

Jakie są przyczyny tej łódzkiej spe-

cyfki? Oczywiście złożone, oczywiście różnorodne. Nie ma się jednak co ośzukiwać — podstawowa przyczyna tkwi w określonej strukturze przemysłu łódzkiego.

Z WŁÓKNEM U SZYI

Historia spletała Łodzi nieprzeciętnego figla. Łódź na włóknie wyrosła, jemu zawdzięczającą niespotykany w świecie rozwój, jest przez nie obecnie „ściągana w dół”. Tak jak półtora wieku temu, kiedy Łódź liczyła 761 mieszkańców, przemysł ten był motorem postępu, tak teraz, kiedy liczy 750 tys., stał się mówiąc brutalnie kulą u nogi. Nie dlatego, że w ogóle mu się stać, czy, że takiego jego znaczenie, ale dlatego, że musiał się stać w określonych historyczno-łódzkich warunkach. Można postawić hipotezę, że gdyby włókno podzieliło się swą monopolistyczną rolą z przemysłem maszynowym sytuacja tego miasta wyglądałaby prawdopodobnie całkiem inaczej. Okres powojenny, w którym historia dopisała Łodzi do

rol monopolisty włókienniczej rolę monopolisty przemysłowego w ogóle, pogłębił niekorzystne skutki jednonostronności. Skoro łódzki przemysł był jednym z niewielu w ogóle istniejących, finansował inne, ponosił koszty budowy socjalizmu. I ta doniosła funkcja odsuwała na plan dalszy interesy własne miasta. Kapitalistyczny i na dodatek porządnie zubożony przez okupanta spadek, jaki pozostał Łodzi, okazał się prawdziwym skarbem. Eksploatowanym przez lata całe ponad możliwości, za to na miarę potrzeb zniszczonego kraju.

W rezultacie „okres bohaterski” przemysłu łódzkiego czuje Łódź do tej pory, mimo niebagatelnych prób złagodzenia jego skutków. Prób w postaci strumienia inwestycyjnych złotych, które skapywały każdej niemal branży po trochu. Nigdy jednak strumień ten nie zahaczał o Łódź w wystarczającym wobec najpilniejszych bodaj potrzeb — stopniu, a przeciwnie, w wielu wypadkach i okresach ją omijał, zdążając do bar-

Dalszy ciąg na str. 4

POD ZNAKIEM ŻURAWIA

„Fly by LOT”, „Flieg mit LOT”, „Flyv med LOT”, „Lentakaa LOT-illa” — zachęcają dyskretnie haselka z kolorowych prospektów, na których nad sielankowo barwnym polskim krajobrazem szybuje w kółku stylizowany żuraw. Lataj LOT-em — można przeczytać również po polsku, ale rzadziej, bo prospekty przeznaczone są przede wszystkim dla pasażera dewizowego.

LOT przewozi niezmiernie od lat czterdziestu, coraz więcej i coraz szybciej. I — jak wszystko dobrze pójdzie — w październiku tego roku sześciomilionowego pasażera — licząc od 1945 roku — na swoich pokładach będzie witał.

GDYBY NIE JULIA JENTYSOWA...

Fakt „fruwania” pani Julii Jentysowej... „posiada niewątpliwie pierwszorzędną doniosłość w rozwoju polskiego cywilnego lotnictwa” — twierdził Boy Zeleński. „Właścicielka zakładu witrażów S. G. Zeleński, mając pilne interesy handlowe w Wenecji, wsiadła do samolotu w Krakowie, przesiadła się w Wiedniu niby do tramwaju i jednym dniem zaleciałszy do Wenecji, załatwiwszy swoje sprawy, wróciła tą samą drogą. To wystarczyło, aby zanotować w Krakowie znaczne ożywienie ruchu lotniczego”.

POLSKIE LINIE LOTNICZE LOT istnieją od 1929 roku, ale Polacy mogli już wcześniej korzystać z samolotu, jako środka komunikacji. Zaczęło się to od Targów Poznańskich. Dzięki tej imprezie handlowej, w maju 1921 roku utworzono Towarzystwo Lotnicze „Aero targ”, które przewiozło na trasach Warszawa — Poznań i Warszawa — Gdańsk około stu pasażerów pod czas 58 lotów. Regularną komunikację powietrzną w Polsce podjął dopiero „Aerolloyd”, od 1925 roku przemieniony na „Aerolot”, który był bezpośrednim poprzednikiem LOT-u. W roku 1925 uruchomiono pierwszą linię międzynarodową: Kraków — Wiedeń. To właśnie przy jej spopularyzowaniu odpowiednio zasługi poniosła dzielna pani Julia Jentysowa.

Zanosilo się i na druga linie: Warszawa — Poznań — Berlin, która miała otworzyć poznańskie „Aero”, ale w ciągu trzech lat istnienia towarzystwa uruchomiono jedynie krajowy odcinek tej trasy. Latało się wtedy na Junkersach F. 13 i Farmanach F. 70, a polscy lotnicy w ciągu sześciolotniej ich

eksploatacji uzyskali stuprocentowy wskaźnik bezpieczeństwa. Osiągnięcie to — na owe czasy rewelacyjne — przyniosło polskim pilotom zasłużoną sławę. Nawet przysłowiową. Bo oto personel lotniska w Wiedniu kiepską pogodę nazywał „Polnisches Wetter”, co oznaczało, że przy takiej pogodzie należy oczekiwać jedynie polskich samolotów. Dalszy dynamiczny rozwój polskiego lotnictwa nastąpił po 1 stycznia 1929 roku, kiedy to powstała spółka państwowo-samorządowa — LOT. Szybko nabrała ona znaczenia na arenie międzynarodowej. Obok nowych tras krajowych samoloty z emblematem żurawia — dziełem plastyka Tadeusza Gronowskiego — laureata konkursu na znak firmowy — zaczęły obsługiwać nowe linie międzynarodowe. Warszawa miała w 1933 roku połączenie lotnicze z Bukaresztem, Sofią, Salonikami, a następnie z Rygą i Tallinem. Lata się już wtedy na Fokkerach F. VII produkowanych na licencji także w Polsce. W 1933 roku wprowadzono czteromiejscowe polskie PWS-24, a próbne loty odbywał pierwszy polski ciężki samolot komunikacyjny, dwusilnikowy, PZL-44 „Wicher”.

Komunikacja lotnicza przyjęła się w Polsce na dobre i w następnych latach rozkłady lotów wzbogacała się o nowe nazwy europejskich miast — Berlin, Ateny, Budapeszt, Belgrad, Wenecja, Kopenhaga. W 1937 roku LOT przekracza granicę europejskiego kontynentu. Otwiera linię do Lyddy w Palestynie. W rok potem przedłuża ją do Bejrutu i jest to najdłuższe wówczas połączenie krajów nadbaltyckich z Bliskim Wschodem.

Plany LOT-u były śmiałe. Na 1940 rok przewidywano otwarcie linii przez południowy Atlantyk. W 1938 roku załoga polskiego samolotu odbyła próbny lot na trasie Warszawa — Los Angeles via Mexico City, Panama, Lima, Santiago de Chile, Buenos Aires, Dakar. Przelecieli 25 tysięcy kilometrów, nie wiedząc jeszcze, że nieprędko tę próbę będą mogli powtórzyć.

OD NOWA

26 samolotów — cały latający sprzęt — przepadł podczas wojny. Niemcy zniszczyli urządzenia naziemne, warsztaty, sprzęt fotograficzny, pojazdy mechaniczne i cały LOT-owski majątek. Wypadało zaczynać wszystko od początku. Jeszcze walczone na froncie, kiedy w końcu lutego 1945 roku ukazał się dekret o reaktywowaniu Polskich Linii Lotniczych LOT jako przedsiębiorstwa państwowego. Cywilnych lotników zastąpili wojskowi i w końcu marca na pierwszych liniach zaczęły kursować samoloty. Nie można było wtedy mówić o stuprocentowym wskaźniku bezpieczeństwa — kryjące się w lasach rozproszone oddziały niemieckie ostrzeliwały cywilne samoloty.

Po zakończeniu wojny z różnych frontów zaczęli powracać do kraju lotnicy. Z drugiego pułku Nocnych Bombowców „Kaków” przyszedł do LOT-u Marian Grabowski — pierwszy po wojnie powietrzny milioner. A razem z nim inni: Józef



Foto: M. Kobrzyński

Wnuki, Jerzy Nieciengiewicz i Piotr Stręk. Z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie — były uczestnik bitwy o Anglię — Marian Wędzik, członek „Cyrku Skalskiego”, walczącego na Pustyni Libijskiej — Mieczysław Wyszowski, uczestnicy nalotów na Niemcy — Czesław Malinowski, Bolesław Bestecki i Jan Bakanacz.

LOT szybko zaczął odbierać wojenne straty. Tempo było isticie lotnicze. W 1946 roku w maju otwarto pierwszą linię międzynarodową Warszawa — Berlin. W następnym można już z Warszawy lecieć do Berlina, Paryża, Sztokholmu i Pragi. Od 1957 r. do Aten. Co rok dalej, co rok szybciej. IŁ-14, Convair -240, IŁ-18 z turbosmigłowym napędem i dwukrotnie większą prędkością przelotową, trzykrotnie większym zasięgiem i przeszło czterokrotnie większym handlowym niż samoloty z napędem tłokowym. Pierwsze połączenie pozaeuropejskie z Kairem otwiera LOT w lecie 1963 r., a na kontynent azjatycki linią do Bejrutu wchodzi w 1966 r. W 1968 pojawiają się pierwsze odrzutowce LOT-u — TU-134. Od kwietnia 1969 r. rozpoczyna się regularna komunikacja do Istanbula.

Niech mi LOT-owcy darują jednym tchem opowiedzianą historię powojenną, ale dla czytelnika — potencjalnego pasażera ciekawszy jest dzień dzisiejszy.

SPORTOWCY, TRUSKAWKI I FASOLKA

Jubilaci liczb nie lubią, czytelnicy też nie bardzo, ale pisać o LOT bez liczb nie można. Więc króciutko: LOT dociera do 22 krajów, a Istanbul jest z kolei 27 portem zagranicznym, gdzie lądują polskie samoloty. Najdłuższa linia do Kairu 3.300 km, najkrótsza do Wilna 480 km. Biegli w arytmetyce niech obliczą jak długo leci się do Kairu, jeśli szybkość TU-134 dochodzi do 900 km na godzinę. Łączna długość linii zagranicznych — 31.926 km.

BRAMY EUROPEJSKIE I CO DALEJ?

„Wlotowe bramy europejskie” to przede wszystkim Paryż, Londyn, Bruksela, Amsterdam. Tam najpierw lądują pasażerowie, zmierzający do Polski, i stamtąd dopiero zabierają ich samoloty LOT-u. Czesi już w kwietniu prawdopodobnie otworzą linię atlantycką. A Polska? Czyż nie czas wreszcie, aby rodaków z Ameryki odwiedzających

kraj, przewoził od początku aż na Okęcie samolot LOT-u? Dewizy wydane na zakup drogiego sprzętu z pewnością szybko by się wróciły, a ranga Polskich Linii Lotniczych LOT znacznie wzrosła. Podobno polskie władze lotnicze rozważają możliwość uruchomienia linii atlantyckiej, a także ekspansji LOT-u w kierunku Afryki Zachodniej i Środkowego Wschodu. Kiedy, co i jak — czas pokaże.

A tymczasem chlubi się LOT nowo otwartym, supernowoczesnym Międzynarodowym Dworcem Lotniczym na Okęciu, nie tylko piękną wizytówką, ale ważnym elementem poprawy obsługi podróźnych i ich wygody. Zespół budynków składa się z trzech powiązanych łącznikami bloków — hali pasażerskiej, bloku techniczno-administracyjnego i towarowo-pocztowego.

W tych liczbach jest miejsce i dla sportowców, truskawek i fasolki. Na przewozy LOT-u składają się bowiem przewozy ludzi, ładunku i poczty. Tu, jak w całej komunikacji, obowiązuje rozkład. Od reguły są wyjątki. Dla sportowców, dla turystów i jak obecnie, dla wybierających się na wystawę polską do Moskwy LOT organizuje specjalne, pozarozkładowe przeloty.

Przewozi się też ładunki: grzyby, małiny, truskawki, fasolkę, mięso i wszystko to, co wymaga szybkiego transportu. Tego typu przewozy specjalistami nazywają — frachtem.

Łodzianie mogą w tym miejscu zżymać się. Dla fasolki i grzybów są samoloty, a dla nas — obywateli drugiego miasta w kraju — nie ma. Dlaczego?

A tymczasem chlubi się LOT nowo otwartym, supernowoczesnym Międzynarodowym Dworcem Lotniczym na Okęciu, nie tylko piękną wizytówką, ale ważnym elementem poprawy obsługi podróźnych i ich wygody. Zespół budynków składa się z trzech powiązanych łącznikami bloków — hali pasażerskiej, bloku techniczno-administracyjnego i towarowo-pocztowego. Jak na elegancką wizytówkę przystało jest kawiarnia i restauracja WARS na 550 miejsc, pomieszczenia biurowe zagranicznych towarzystw lotniczych, taras długości 230 metrów biegnący wzdłuż budynku dworca, taśmociąg dla bagażów, w kondygnacji podziemnej hotel dzienny dla pasażerów tranzytowych i szereg innych pomieszczeń. Polysk lakieru, smak komfortu, uśmiech stewardess i wersalska uprzejmość pracowników LOT-u wizytowce tej nadają poluru. A w lotnictwie nie jest to nic nowego, bo już Boy-Zeleński pisał przed laty, że... „polskie linie lotnicze są ostatnim bodaj miejscem, w którym schroniła się wersalska uprzejmość: w austriackiej armii, w najgorętszym czasie wojny, ktoś, kto by brzydko jadł przy stole, albo popełnił nawet mniejsze wykroczenia przeciw formom, nie mógł marzyć o tym, aby się dostać do korpusu lotniczego”.

Czasy co prawda inne, ale austriackie wzory zachowano i personel LOT-u jest tak samo elegancki jak przed laty czterdziestu, a uprzejmość zadowala nawet największych grymasników.

Bogactwo w drodze do Łodzi

Dalszy ciąg ze str. 3

dziej ważnych rejonów, gdzie rosły budywy priorytetowe. Łódź łaknęła modernizacji, tamci się industrializowali. Modernizacja musiała czekać. Bo przecież w Łodzi — przemysł był! Fabryki pracowały i to jeszcze jak! Poza scharakteryzowaną wyżej sytuacją w przemyśle również szereg czynników wyznaczących w istotny sposób sytuację życiową mieszkańców spycha łodzian poniżej średniego poziomu dla miast dużych, a często i niedużych.

Weźmy płacę, najbardziej odczuwalny przez szereg obywatela skutek jednostronności strukturalnej przemysłu i jego stanu technicznego, powodującego w porównaniu z innymi okręgami

przemysłowymi niską wydajność pracy. Średnia płaca w przemyśle społecznym w grupie pracowników przemysłu wynosiła w kraju w r. 1967 — 2.346 zł brutto, w Łodzi — 2.103, w Warszawie — 2.458, w Krakowie — 2.455, w Wrocławiu i Poznaniu ok. 2.300. Od 100 do 300 zł niżej kształtują się także średnie zarobki różnych grup pracowników przemysłu łódzkiego, i robotników i inżynierów i urzędników. W wypadku robotników, spośród których najczęściej pracuje w przemyśle lekkim, wpływają zdecydowanie na ten stan płace włókienniczy z reguły odbiegające od średniej dla pozostałych robotników w kraju o ok. 350—400 zł. Dane za trzy kwartały ubiegłego roku nie wskazują na zmiany w tym zakresie. Przeciętna płaca pracownika zatrudnionego w przemyśle łódzkim wynosi ok. 220 zł mniej od średniej krajowej, jest niższa niż w innych miastach wydzielonych, kształtuje się na poziomie płac w Koszalińskim, Kieleckim i Rzeszowskim. Korzystniej przedstawia się dochód na ro-

dzinę, głównie z tej racji, że więcej niż w innych statystycznych rodzinach jest tu osób pracujących.

Drugim — poza bazą materialną istotnym czynnikiem wyznaczącym poziom życia łodzian jest sytuacja mieszkaniowa. Mimo kolosalnego tempa zmian i poprawy w tym względzie — w ciągu 25-lecia wybudowano 230 tys. izb — spadek przeszłości obciąża Łódź tak dalece, że wyrównać do innych nie sposób. Niewątpliwie wpłynął na to fakt, iż prawdziwy rozmach budownictwa mieszkaniowego datuje się w Łodzi właściwie od roku 1958. (W latach 1950—55 bowiem prawie połowa ogółu izb mieszkalnych wybudowanych w Polsce za pieniądze państwowe skoncentrowana została w województwach krakowskim, katowickim oraz w Warszawie). Tak więc w Łodzi na jedną izbę przypadało w roku 1967 1,43 osoby (tj. tyle, ile np. w Pucku czy w miastach powiatu Goldap), przeciętnie w miastach kraju 1,38, zaś w Warszawie i Wrocławiu po 1,32. (Obecnie w Łodzi na jedną izbę przypada 1,39) Wg spisu mieszkań sprzed 3 lat, ilość mieszkań

pozbawionych wodociągów, WC czy łazienek jest jeszcze tak wysoka, że stawia Łódź pod tym względem gdzieś w rzędzie miast 20-tysięcznych. Od średniej krajowej odbiegamy o kilka procent, od średnich dla miast wydzielonych o kilkanaście.

Trzecim istotnym czynnikiem sytuacji życiowej wydaje się szeroko pojęta sfera usług. Zarówno wartość usług przypadających na jednego łodzianina, jak i sieć placówek na 1000 mieszkańców, czy ilość zatrudnionych w usługach lokuje Łódź na końcowych pozycjach.

To zmasowanie dość charakterystycznych danych nie jest bez „ale”, i nie jest pozbawione tendencyjności w sensie ukierunkowania ich wyboru. Nie chodzi tu jednak o obraz Łodzi, a o obraz dysproporcji i wynikających z nich „kierunków natarcia” i działań. Z konieczności więc pomijam w nim punkt wyjścia — gorszy przecież niż gdzie indziej i jeśli chodzi np. o całą gospodarkę mieszkaniową i komunalną, charakteryzując wyłącznie stan obecny z pominięciem tempa i zakresu odbi-

nia różnic. Wydaje się jednak, że mi mo niewątpliwych osiągnięć w tej mierze, Łódź osiągnęła pewien pulup, przez który nie „przeskoczy” bez zasadniczych zmian: kompleksowej i konsekwentnej modernizacji oraz konstrukcji przemysłu, która spowoduje radykalne przekształcenie dotychczasowej jego struktury i stanu wyposażenia.

W trakcie obrad V Zjazdu partii przewijało się wezwanie o gospodarkę intensywną. Wezwanie to właśnie w Łodzi zabrzmiało szczególnie aktualnie i pilnie. Szereg przytoczonych wyżej wskaźników, wzajemne proporcje między ilością zatrudnionych a wielkością produkcji i wydajnością, świadczą o ekstensywnym typie gospodarki. Wysiłki całego łódzkiego aktywno partyjno-gospodarczego idą w kierunku zmiany. Intensywny model gospodarowania jest celem najbliższych lat...

7 LAT TŁUSTYCH

Upraszczając, rzecz można, że Łódź potrzeba — wszystkiego. Szanse na stopniową realizację tego z po-

"Dimanche en Orly" po polsku

Nikiel i szkło, ściany z polturo wanej brzozy, neony, klubowe fotele — luksus, elegancja, olśniewająca funkcjonalność architektury i ten dystyngowany, ciepły alt z głosiłków.

„Przed chwilą wylądował samolot Holenderskich Linii Lotniczych, rejs numer... z Amsterdamu. Samolot kołuje na stanowisko numer 2". I to samo w języku nadwiślańsko-oksfordzkim.

Na galerijce nad salą odpraw celnych zaczyna być tłoczno. Za chwilę transportery wyrzucą z pod ziemi szeregi walizek, waliz, kufków, neseserów i toreb podróżnych. Za chwilę na salę wejdą pierwsi pasażerowie. Oczy oczekujących na galerijce wpatrzone są z uwagą w szare posadzki — celnicy zajmują stanowiska.

Okecie. Międzynarodowy dworzec lotniczy — piękno architektury, wytworne entourage. Okecie — skrzyżowanie nowoczesnego wystroju z atmosferą dworca PKS w Mszanie Dolnej.

Zarośnięty góral o zmęczonej twarzy, w białych portkach z parzenicami drzemie w fotelu. Obok żonina torba — butelka po piwie, zawinięte w serwetkę kromki chleba. Otwiera oczy, przygląda mi się przez chwilę i mówi:

— Panie, jakby te wujce z Ameryki przyjeżdżały co tydzień, to by się człek zamęczył.

Z głośnika płynie ciepły alt: „Ko munikat w sprawie samolotu specjalnego z Toronto podamy o godzinie piętnastej...”

Góral znów zapada w drzemkę, a kiedy o godzinie piętnastej pani z głośnika informuje, że samolot specjalny z Toronto wylądował w Warszawie o godzinie dwudziestej czwartej — poczciwy baba jest bliższy załamania.

Wyjechał z Zakopanego wczoraj wieczorem — cała noc w pociągu — rankiem dotarł na Okecie. Cały dzień czeka, a tu w perspektywie pół nocy...

Bo tu się przede wszystkim czeka. Godzinami. Co prawda w luksusowym wnętrzu, ale warunki oczekiwania wcale nie są luksusowe. Owszem, jest elegancka restauracja „Warsu”, ale wiem, że większość oczekujących tam nie pójdzie. Za drogą i za luksusowo. Więc czekają. Z koszykami u nóg, rozłożeni w fotelach chrapają potężnie, przerywają drzemkę, aby wysłuchać kolejnego komunikatu, cza sem zjeżdżają na dół, gdzie przed budynkiem rozstawiły się saturatory

z wodą sodową — wypijają szklankę i wracają na swoje fotele.

Stoję na galerii — obok paru starszych ludzi gdzieś z Rzeszowszczyzny bo rozmawiają o pociągach do Rzeszowa.

— Napiliabym się — mówi kobiecie.

— Przyniosę piwa — ofiarowuje się mąż.

Patrzę za nim jak sunie do super-restauracji „Warsu”. Zatrzymuje go szatniarz — długa dyskusja, wreszcie rzeszowianin powierza płaszcz szatniarzowi i długo a nie ufnie obraca w dłoniach numerek.

Wraca zadowolony, owiany zapachem „Full light”.

— Nie przyniosłeś — pyta żona.

— Na wynos nie dają — pada odpowiedź.

Parę kroków dalej, tuż obok wielkiego napisu „WC” siedzi w fotelu pani w mocno przybrudzonym fartuchu. Pani ta sprawia wrażenie wyraźnie zaprzyjaźnionej z większością oczekujących. Źródło tych licznych znajomości kryje się w... wiadrze. Tak jest! Otóż obok absorbującej funkcji pobierania opłat (a głos miała donośny i często słyszano się „Panie, to jest płatne!”) miss kłozetowa trzyma w „WC” wiadro pełne kwiatów.

Wiadomo, wypada rodaka powitać goździkiem czy różą, a przecie trudno wieść kwiaty z Leska czy Sokółki. Miss kłozetowa zatem w sposób bezbłędny wypełniła handlową lukę międzynarodowego dworca lotniczego.

Powie ktoś, że się czepiam LOT-u, że mało mi eleganckiego dworca, że wybrzydza, że nie do ceniam. O, przepraszam! LOT jest bez zarzutu. Obsługa jest szybka, sprawna i — uwaga, uwaga! — uprzejma.

Polazłem do biur LOT-u na pierwszym piętrze, wypytywałem o różne możliwe połączenia (a możliwości jest sporo) Nowego Jorku z Warszawą. Wyjaśniano mi uprzejmie i wyczerpująco — co, jak i kiedy. Poczuliem się jak cudzoziemiec dewizowy.

Ale wróćmy na galerijkę nad salą odpraw celnych, bo oto z głośników płynie ciepły alt: „Wylądował samolot Polskich Linii Lotniczych rejs numer... z Paryża. Samolot kołuje na stanowisko numer 4”.

Babinka z plecioną koską podrywa się nerwowo: „Czy to już Paryś, czy to Paryś?”

Sala odpraw celnych jeszcze pusta — tylko celniczki zajęły już stanowiska. Za chwilę autokar pod wieżę pasażerów pod budynek dworca. Najpierw pojawiają się piloci, żartują z celniczkami, na pytanie o pasażerów odpowiadają: — „Wesoły autobus” — orbisowska wycieczka wraca z Paryża...

Celnicy otwierają dyskretnie małe kabinki do osobistej kontroli. Sami swoi — znamy się jak łyse konie.

Zapada zmrok — setki jarzeniówek oświetla zmęczone twarze śpiących w fotelach ludzi. Powiedzieli już goździki i róże miętoszone przez długie godziny w spoonych dłoniach. Sala odpraw celnych znów pusta — dworzec zapada w odrętwienie. Dopóki znów nie poderwie wszystkich na nogi ciepły alt anonsujący kolejny samolot na płycie lotniska.

Malarze w Sieradzu

W tym roku Łódzki Oddział ZPAP zorganizował ogólnopolski plener w prastarym gościnnym Sieradzu. Miasto przyjęło malarzy życzliwie i z dużą ciekawością. Czterdziestu artystom oddano do dyspozycji całą szkołę licealną, łącznie z internatem. Sympatyczni mieszkańcy zbulwersowani wydarzeniem z uwagą śledzili poczynania malarzy. Malarze nie zawiedli, owoce ich trzytygodniowego pobytu w Sieradzu mogli wszyscy oglądać na specjalnie zorganizowanym pokazie. Część płócien pozostanie na zawsze w miasteczku, upiększy wnętrza tutejszych domów.

Plener sieradzki był piątą tego typu imprezą Łódzkiego Oddziału ZPAP. Pożytek społeczny i artystyczny tej akcji jest oczywisty. Plener odbywa się co roku w innej miejscowości naszego województwa. Biorą w nim udział znani twórcy z całej Polski. Tym razem obok przedstawicieli środowiska łódzkiego w Sieradzu gościli malarze z Krakowa, Rzeszowa, Torunia, Poznania i Warszawy. Znale



Na zdjęciu: Konstanty Mackiewicz

li się wśród nich twórcy tej rangi co Lucjan Mianowski, Marek Sapetto, Stanisław Wiśniewski, Wiesław Szamborski, Ryszard Skupień, Barbara Narebska-Dębska i Włodzimierz Kotkowski. Jeśli idzie o łodzian należy odnotować przede wszystkim obecność prezesa Zenona Liberskiego oraz seniora łódzkiego środowiska plastycznego Konstantego Mackiewicza, wypróbowanego przyjaciela naszego pisma.

Plener w pojęciu współczesnym to nie tylko kontakt malarza z przyrodą, ale

kontakt ze wszystkimi elementami krajobrazu. A więc w pierwszym rzędzie z ludźmi, z ich miejscem pracy, z architekturą i dopiero z pejzażem.

Malarze przebywający na plenerze w Sieradzu byli mile widziani w zakładach pracy, a szczególnie w „Sierze” i w miejscowym browarze, sławnym nie tyle z rozkosznych trunków co z emanacji na całe miasto nieprzyjemnych zapachów. Na szczęście reprezentantów malarstwa węchowego w Sieradzu nie zauważyłem. Byli na tomiast przedstawiciele różnych szkół, kierunków tendencji i pokoleń. Czy kłócili się z sobą? Raczej dyskutowali — jak oznajmił komisarz pleneru — Bernard Kepler.

Interesującym akcentem pleneru była także wizyta w Sieradzu dyrektora Galerii Narodowej w Pradze dr Jaromira Zemina, który ogłosił odczyt na temat współczesnej plastyki czeskiej.

K. B.



Od lewej: Zygmunt Hyży, Ireneusz Olszewski, Zbigniew Hołowko.

Foto: A. Wach

zoru nierealnego postulatu istnieją. Są wyliczone, podliczone i przedyskutowane z zainteresowanymi — od zakładów poczynając, a na resortach kończąc. W latach 1967—68 egzekutywa KE skonkretyzowała bowiem wspólnie z aktywnym gospodarczym perspektywiczny program rekonstrukcji i modernizacji całego przemysłu łódzkiego do roku 1975. I mimo, że do momentu realizacji w wielu punktach ulegnie on na pewno jeszcze jednej zmianie, już teraz — po raz pierwszy bodaj w historii Łodzi, można mówić o istnieniu opracowanej w sposób kompleksowy, rzeczowej koncepcji rozwoju przemysłu i miasta. Co w niej uderza?

Po pierwsze fakt, iż właściwie dopiero w myśl jej założeń zmienić się ma ostatecznie jednostronny włókienniczy kierunek rozwoju Łodzi nadany jej sto kilkadziesiąt lat temu. Koncepcja przewiduje, że Łódź po-

zostanie centrum przemysłu lekkiego, ale zarazem stanie się ważnym ośrodkiem przemysłu elektromaszynowego. Przemysł lekki będzie się właściwie nie tyle rozwijał co doskonalił wewnątrz kosztem, jak się szacuje, około 14 mld zł.

Jest to tyle, ile wynosiła całość nakładów inwestycyjnych na gospodarkę społeczną w Łodzi w 5-letce 1961—65. Doskonalił i w sensie wymiany starego parku maszynowego na nowoczesny. wymiany zakrojonej na nieporównywalnie szerszą niż dotychczas skalę i w sensie budowy obiektów odtworzeniowych w miejsce oddziałów starych, w które nie ma już po co ładować pieńdzy, i w sensie preferowania branż przyszłościowych — głównie dziewiarstwa (którego produkcja, po uprzednim zainwestowaniu weń 2,3 mld zł ma wzrosnąć o 183 proc.) i przemysłu odzieżowego. Przemysł elektromaszynowy (i inne podległe zarówno MPM jak i MPC) ma natomiast nie tylko się doskonalić, lecz i rosnąć na potęgę. Do roku 1975 — o 2,5 raza — z tym że

dział obrabiarek i narzędzi 3,5 raza, wszystko kosztem 5 mld zł. Jest to jedynie o 1 miliard zł mniej niż pochłoniął w 5-leciu 1961/65 cały łódzki przemysł. Z tej poważnej sumy 3,5 mld przeznacza się na inwestycje nowe, jako, że obecnie ok. 80 proc. osób zatrudnionych w przemyśle elektromaszynowym pracuje w starych i technicznie zużytych budynkach i pomieszczeniach, w których nie sposób sprostać potrzebom licznych odbiorców. Dotychczasowy rozwój tego przemysłu kreuje go na jedynego poważnego następcę włókna i jest traktowany przez fachowców jako jedyna właściwie długofalowa szansa dla Łodzi.

W koncepcji rozwoju łódzkiego przemysłu uderza — po drugie, bardzo konsekwentne dążenie do zmniejszenia dysproporcji między wyposażeniem przemysłu łódzkiego, a krajowego i światowego, jak również poziomem wytwarzania. Widać to zarówno w preferowaniu (finansowym) — w ramach koncepcji, branż z tzw. przyszłością, doborze typów maszyn

wyborze określonych, najnowocześniejszych technologii, jak i skali tego 7-letniego przedsięwzięcia, które ma przynieść w przyszłej 5-letce niemal dwukrotny (90 proc.) wzrost produkcji towarowej, a także wzrost eksportu — do 500 mln zł dew. Przedsięwzięcia, opartego z jednej strony na kolosalnym wzroście wydajności pracy — który w wielu branżach oznacza podwojenie produkcji na jednego zatrudnionego, z drugiej — na kolosalnym wzroście środków inwestycyjnych. Wprawdzie ostateczna wielkość inwestycji to zawsze wielka niewiadoma, ale osoby kompetentne twierdzą, że niezależnie od takich czy innych ostatecznych ustaleń co do wielkości strumienia środków mającego spłynąć np. na cały przemysł lekki — Łódź i tak „swoje” dostanie. Umocniając nadzieję tym optymistycznym akcentem można stwierdzić, że obecne 7 lat to dla Łodzi la-

ta — inwestycyjnie — tłuste. Licząc najskromniej szacuje się nakłady na przemysł na 20 miliardów, co w porównaniu z ubiegłym 7-letciem, kiedy przypadło przemysłowi 9 miliardów, mówię samo za siebie. Na przyszłą 5-latkę całej łódzkiej gospodarcze uspołecznionej mają przypaść nasze ok. 30 mld zł.

Łódź nie ma kompleksu niższości. Nikt nie jest wrogiem włókiennictwa, a jedynie „ściągającej” miasto w dół jednostronności rozwoju, za którą płaci ono zbyt wysoką cenę. Nikt nie jest wrogiem przemysłu lekkiego, jedynie jego przestarzałego stanu technicznego. Nikomu nie chodzi o zwiększenie „na siłę” udziału produkcji łódzkiej w całości produkcji krajowej, ale o kompleksowy i harmonijny rozwój, czyniący z Łodzi miasto w pełni nowoczesne, socjalistyczne. Na miarę łódzkich i ludzkich marzeń.

IRENA DRYLL

ZYGMUNT FIJAS

WENTA

czyli trzeba
mieć szczęście
do gry

(STYLIZACJA SATYRYCZNA)

Mam pewnego kumcia, którego osoba nie stanowi zbyt wesołego znaku na mapie charakterów. Z pozoru jest to takie przyszczone niby nic, co to, jak powiadają, dwu do kupy złączyć nie może, jeśli zaś głębiej się nad nim zastanowić, jest to tegi głowacz z rzędu tych, co tabliczki mnożenia swym rozumem nie przekraczając, przeróżnych mądrych i kutych ludzi za nos wodzą, wielkiego znaczenia i honorów w świecie dostępują.

Kiedyś spotykam tego kumcia na jakimś zebraniu i omal mnie z zazdrości nie rozedmie. Na przydzielonym fotelu siedzi mój kumek, jakby to rzec: „przedwojenna plama”. Trzema podbródkami wesoło trzęsie, skuwką od ołówka nos pociera i tylko uszami tam i sam rusza: skąd jaki wiatr wieje i jakie jutro nowe wianie będzie.

Bardzo mnie poruszył ten kumek. Dopiero po niejakiem czasie, gdy zaczynają pstrykać palcami na znak, że będzie wolno palić na sali, bo wentylator już naprawiony, walę w czasie przerwy do mej „plamy” i smalę mu bez ogródek:

— Jak to jest, kumciu, tego ja pojąć nie mogę.

— A czego mianowicie nie możecie pojąć? — pyta on, pocierając obcasem tydkę, bo mu jakiś świąd do niej wlaź.

— Tego mianowicie nie mogę pojąć — odpowiadam — że taką smolą będąc, wprowadziliście własną babcię na działków ogródek. Różne przedwojenne władze umieliście wystawić do wiatru. A teraz, cwaniakiem będąc, potrafiłiście się wyforyrować na to miejsce w fotelu. Gdzie jest wasza charakterność, gdzie skład porządnego rozumu, gdzie jakie wasze otwarte czolo?

— Czolo? — roześmiał się. — I to jeszcze otwarte? Charakterność? A ugotujcie mi rosół na czymś takim. Kupcie mi za to rolkę higienicznego papieru albo bilet do cyrku. A co to? Tłucze kumcia zazdrość, że sprawiamy sobie tyle welnianych rzeczy i chodzimy w płaszczach z komisu albo z PKO, nie w terażniejszych szmaciakach? Krew was zalewa, że ciocia dała sobie zrobić futro na prawdziwym jedwabiu?

— Nie o odzienie mi chodzi — odpowie działem mu. — Nie o brajtszwance, nie karakuly. Nowe karakuly raz są, drugi raz ich nie ma! Nie o ubranie mi chodzi, człowiecze, butwielinio moralna i pobielan grobie! Bo nie wygląd zewnętrzny decyduje o człowieku i jego wartości, ale człowiek przyozdabia okrycie swoim sprawowaniem się w naturze, swoją składnością i porządnością, wartą naśladowania. Poklepał mnie po ramieniu i znowu roześmiał się. Po czym rozglądawszy się po gronie swej dostatnio ubranej rodziny, powiedział:

— Komu innemu bym w gębę napluł za takie coś. Wam nie, bośmy kumy. Czolo-

wiek musi się odmieniać jak zaskroniec, kiedy skórę zrzuca! Wy idźcie do stu diabłów z waszymi moralami, za którymi tylko zazdrość stoi i zawisła. Idźcie do tych diabłów i kaźcie im ogłosić swe słowa w gazetach. Ludzie będą mieli z czego się śmiać. I dalej noście na rękach swego raftera, żeby go hycel nie chwycił, bo nie opłacony. Świećcie swymi pocerowanymi portkami, naciągajcie wuja fryzjera na niżkowe strzyżenie, prasujcie swe niedzielne spodnie pod siennikiem. A ja tak będę balansował, jak mi mój zdrowy mózg każe. Zobaczmy, kto na tym lepiej wyjdzie. Mój grabarz, który zapłatę za darniowanie mego grobu z góry na pięć lat otrzyma od mojej mającej głowę na karku rodziny, czy wasz grabarz, który nic od nikogo nie dostanie. Bo od kogo ma co dostać, jeśli wy tyle samo będziecie znaczyć po śmierci co i dziś, przed nią. A więc, dokładnie tyle samo, co nie! Trochę skarg, trochę zżymania się, trochę nadziei, która, jak wiadomo, jest matką głupich.

Bardzo mi się zrobiło smutno. Smutno... no, bo naprawdę: nie dorobiłem się dotąd niczego więcej poza szkrofułami, wątlą wątroba, platfusem i wolem.

Ale nie wtedy memu kumciowi nie powiedziałem, jeno pomyślałem sobie: Śmieję się kumciu! Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Ale nie ja śmiałem się na ostatku, tylko on. Albowiem przed samymi świętami znowu spotkałem mego kuma. Spotkałem go na loterii fantowej, gdzie był do wygrania drób tuczony, prosięta z kokardkami, cała nasza konserwowa wilia dla rodaków za granicą, a więc: kutia w puszkach, pierogi z grzybami w próżni, kompot ze suszu, kapusta z olejem, dalej: naturalne utensylia domowe, a więc: zapalniczki do gazu z Eldomu, froterki, odkurzacze, podręczne lodówki samochodowe z butlami gazu, napoje, porcelana, różności.

Naturalnie znowu mnie ze złości omal na pół nie rozdarło. Albowiem rodzina kuma oprowadza po korytarzach wygrane prosięta, kaczkę, kumek zaś wygrywa indykę, winiaki eksportowe, do tego piwo Radeberger, karpia, ciasta, ma więc gotową wilię, my zaś za swe losy, albo nie nie wygrywamy, albo otrzymujemy bułowe bindy eksportowe do przytrzymywania wąsów, automaty do otwierania weków, miód sztuczny, czyli jak to wtedy jeszcze powiadali „miód artystyczny”, zapewne z niemieckiego „Kunsthonig”, merlę na ślubne welony, piwo w pastylkach, abonamenty do łaźni, kamyczki do zapalniczek, wykalaczki.

Nie mogłem wtedy utrzymać języka w gębie. Wskoczywszy na stołek, zaprawiłem tę przedświąteczną wentę przemówieniem, z którego wynikało, że dzieją się na sali wykroczenia. Ze ta, co losami w pudełku potrząsa, jest na pewno w znowie z tymi, co wygrywają, ci zaś, co wygrywają, na pewno są w porozumieniu z tymi, co stoją nad tą, co ma generalne baczenie na wszystko.

Ale zapewne ci, co wygrywali, byli w jeszcze lepszej znowie z władzami porządkowymi, więc z woźnymi, bo zaraz zostałem zmuszony do opuszczenia sali, a potem nawet do zapłacenia mandatu za zakłócanie spokoju publicznego, którego tam przecież nie było. Bo jak może być spokój tam, gdzie jedni wygrywają, drudzy nie?

Więc od tego czasu o niczym innym z takim boieniem głowy nie myślę, jak o tej prawdzie mego kumcia, że trzeba mieć pomysłu do gry. A jeśli tacy gamonie jak ja głowy nie mają, to niech się do

wenty nie pchają i innym szczęściarzom miejsca na sali nie zajmują.

— I słusznie — przytaknąłem znajomemu, który był autorem powyższego zwierzenia. — Jeśli pan nie umiał być organizatorem własnego szczęścia i wygrywał wykalaczki zamiast eksportowego serwisu z pozłacanymi brzegami, a zapewne także i kompletem posrebrzanych sztuców, to lepiej na wenty się nie pchać i innym niczego nigdy nie zazdrościć. Nie zazdrościć, bo od zazdrości tylko głowa boli i po nocach absolutnie nie można spać. Więc żeby być w zgodzie ze swoim szczęściem, trzeba swe powodzenie umieć zawczasu organizować. Gdyż od braku zaradności wątroba powiększa się i komora w sercu,

wrzody na dwunastnicy powstają i na żołądku, nie mówiąc o mózgu, w którym powstają żyłaki.

— Prawdę pan mówi. Znasz się na rzeczy. To samo mówią lekarze. Ale jak to zrobić, żeby umieć zawczasu organizować swe powodzenie? Swe przyszłe szczęście.

Tego to ja wtedy sam nie wiedziałem. Więc żeby się nam jaśniej w głowach zrobiło, udaliśmy się na piwo. Ale co z tego dalej wynikło, do jakich doszliśmy wniosków, tego przed odsiedzeniem kary za pobicie bufetowego, co nam do piwa wody dolewał, wypowiedzieć publicznie nie mogę. Odcierpię co mam odcierpię, to się wtedy odważyć powieść. Ale co odcierpię i kiedy, i ile, tego jeszcze nie wiem, bo rozprawy ani nawet uwierzytelnionej kontumacji sądownej nie było.



VESNA PARUN

POWRÓT DO PNIA CZASU

Wy, którzy pytacie skąd mam odwagę
by znowu słonecznie opiewać miłość
po tym jak ją zamknęłam w skrzyni czarnej pieśni
i złożyłam na skrzydła ptakom,

Słuchajcie: ja zawsze powracam do siebie
i czeka mnie odkrycie w korze każdego pnia
który natnę nożem wspomnienia.

Lecz jeżeli pień zmarł
i teraz już niemal w węgiel się przemienił,
ryć będę rękami głęboko w ziemi
i wykopię go jako węgiel.

Jeżeli wrócę za dziesięć lat
wykopię go jako kamień.
A jeśli powrócę za lat sto lub więcej
sięgnę jeszcze głębiej i nie znajdę nic.

Bo i kamień kamieniem nie pozostaje.
Bo i kamień gdzieś się przenosi.
I nie pytajcie o jego drogę
lecz pozwólcie mi śpiewać i powracać
do korzenia mej pieśni, najgłębiej do siebie.

Z serbsko-chorwackiego przełożyła
BOŻENA NOWAK

ST. SZCZĘCHOWA

STRONY ŚWIATA

Na ile stron świat podzielono
pod zimną tarczą nieboskłonu?

Oto południe, północ, zachód,
świt niepokoju i przestrachu,
oto łagodne strefy zmierzchu,
oto blask słońca, które weszło
oto zielone barwy godzin
zbytecznych zgonów i narodzin...
A najsmutniejsza strona owa
bez nazwy, złota i surowa,
w centrum galaktyk zabiakana —
strona mnie jednej darowana.

„Kim jesteś, piękna maseczko?”

Coraz to inny pazur krytyczny dosięga twórczości Szymborskiej. Obdarzono ją kilkoma etykietkami; niektóre z nich są ze sobą wyraźnie sprzeczne. Nazwano przedromantyczną damą (Non omnis moriar z miłości), przypisano konflikty emocjonalne właściwe kobiecie pracującej, w odróżnieniu od salonowej Saffo, Pawlikowskiej. Więc jak to? Dama czy kobieta pracująca? A może pracująca dama? Przypisać trzeba, że krytycy mają tu wyjątkowo rozległe pole do popisu. Krytycy jednak, jak wszyscy inni śmiertelnicy oprócz wystrzonej niby brzytwa świadomości posiadają również podświadomość. Więc jeśli nie zawsze wprost wskazują na związek Szymborskiej z Pawlikowską, a nawet od ich uznania się odłączają, podświadomie porównują ją z krającami w opinii krytycznej modelami autorki „Dancingu”. Stąd się wzięła dama. Wyczuwają jednak także od-

mienność wzorca emocjonalnego, który tworzy Szymborska. Stąd kobieta pracująca. Oczywiście zgodzić się trzeba z tym, że Szymborską dzieli od Pawlikowskiej cała lawina zdarzeń. Nie wyklucza to jednak przeciwieństwa możliwości pokrewieństwa twórczych. Inaczej w ogóle nie można by mówić o tradycji literackiej. Niewątpliwie można doszukiwać się w niektórych jej wierszach wpływów Pawlikowskiej, ale są to wpływy raczej malejące. W ostatnim, najdojrzalszym tomiku poezji „Sto pociech” trudno byłoby je odnaleźć. Dystans emocjonalny jest wszak cechą najsilniejszego nurtu poezji XX wieku, a raczej wielu jej nurtów i trudno wszystkie założyć w tej dziedzinie przypisać Pawlikowskiej. Zasugerowano się chyba nieco określeniem „poezja kobieca”. Pewnie, że kobieca, jaka ma być, kiedy tworzy ją kobieta? Być może, określanie, jakie cechy poezji są „męskie” a jakie „żeńskie”

jest w stanie dostarczyć wiele radości psychologom twórczości i amatorom. Nie można jednak ograniczać tradycji Szymborskiej wyłącznie do wpływu Pawlikowskiej. Związki z tradycją autorki „Sto pociech” są dużo rozleglejsze. Pisano często o wyjątkowości tej poezji w naszej literaturze. Z pewnością każdy wybitny poeta jest w jakimś sensie wyjątkowy. Wyjątkowość nie może jednak oznaczać zerwania z tradycją poetycką, a przeciwnie — oznacza umiejętność twórczego jej wykorzystania. Im znakomitszy poeta, tym większe obszary poetyckiego języka zagarnia i nagina do swoich potrzeb.

Zwracano często uwagę na to, że w poezji Szymborskiej tradycyjność zderza się z nowoczesnością. Odczucie tradycyjności tej poezji może mieć za źródło obranie jako punktu odniesienia twórczości poety awangardy, lub tych, którzy bezpośrednio poszli ich tropem. Wiąże się to z mniemaniem, że w sztuce istnieją absolutne rewolucje i że jedną z największych poetyckich rewolucji zawiązujemy właśnie poetom spod znaku awangardy. Oczywiście, istnieją punkty zwrotne, momenty, kiedy dochodzą do głosu zapowiedziane już wcześniej, potęgujące się obsesje twórcze. Nie jest jednak bez znaczenia, w którym miejscu umieszcza się ten punkt zwrotny.

Szymborska swoją poetycką intuicją odkryła to, czego jeszcze nie dowiedli wyraźnie historycy literatury — że jednym z takich punktów zwrotnych dla polskiej poezji była twórczość Leśmiana. Świadomie czy nieświadomie przetworzyła niektóre elementy typowe jego twórczości.

Charakterystyczne jest to, że często spotykamy się z zastanawiającą zbieżnością etykiet, którymi obdarzano Szymborską i Leśmiana. Jedną z nich jest egzystencjalizm, inna — szczególnie uwrażliwienie na sprawy czasu.

Za mało może zwraca się uwagę na filozoficzność poezji Szymborskiej — a przecież nie zawiera ona na ogół rozważań typu refleksyjnego. Filozofia tkwi w samej materii wiersza, mozaika ulubionych przez poetkę szczegółów układa się w zarys losu człowieka — tragicznego, śmiesznego i pięknego zarazem. Tworzy Szymborska też swoją mozaikę na pozór niefrasobliwie, aby w kulminacyjnym momencie jednego z wierszy rzucić dwunogiemu outsiderowi w świecie przyrody pytanie: „Kim jesteś, piękna maseczko?”

O ileż większe tu ambicje i wyższy ton niż w „Dancingu” Pawlikowskiej. A przecież autorka w drugim okresie swojej twórczości jak ognia unika patosu i broni się przed nim ironią.

Człowiek jest outsiderem w świecie przyrody. Kamień się dla niego nie otworzy.

Pukam do drzwi kamienia — To ja, wpuść mnie

— Odejdź — mówi kamień — Jestem szczelnie zamknięty

— Pukam do drzwi kamienia: — To ja, wpuść mnie — Nie mam drzwi — Mówi kamień

(Rozmowa z kamieniem)

U Leśmiana człowiek i przyroda stanowią dwa odrębne byty. Człowiek nie mo-

Nagrody książkowe dla Czytelników w konkursie: „Najpopularniejszy Łodzianin 1968”

Wielu naszych Czytelników brało udział w plebiscycie „Odgłosów” na najpopularniejszego Łodzianina Roku.

Dla autorów najciekawszych listów redakcja przeznaczyła osiem nagród książkowych. Otrzymali je: Krystyna Szymczak, Łódź, Zacisze 6 m 12; Longina i Kazimierz Czekałscy, Łódź, Ruchliwa 5, m 3; Alina Grell Łódź, Gdańska 123 — b m 6; Antoni Ferlich, Łódź, Nowotki 89 m 7; Stefan Pastuszewski, Bydgoszcz, al. 1 Maja 216 m 8; Eugeniusz Wojech, Łódź, Kasowa 4 m 6; Stanisława Jabłkiewicz, Łódź Jarzębinowa 8; Maria Drożdż, Łódź, Rafowa 3 Nagrody wysłano pocztą.

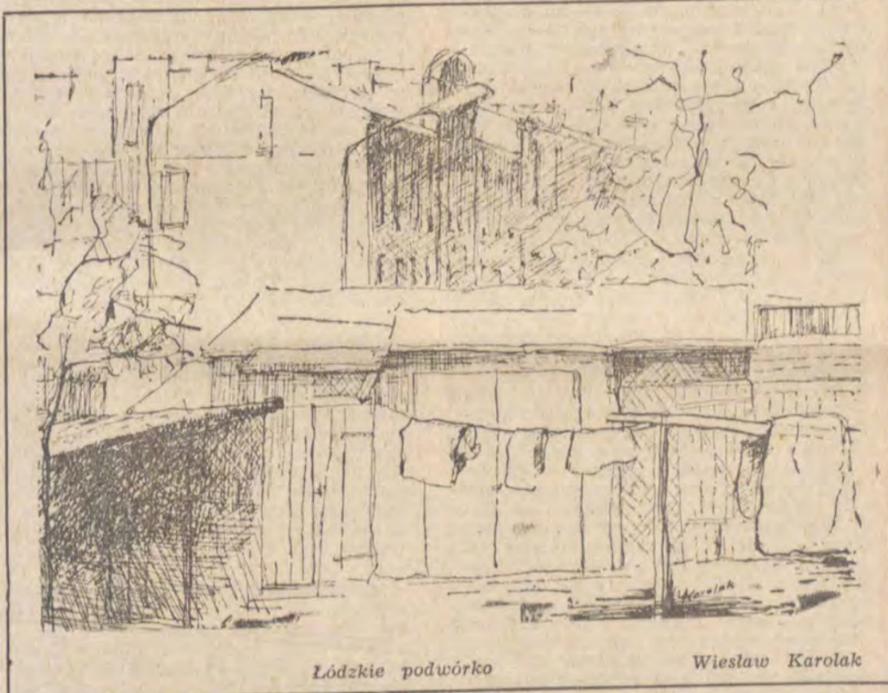
że zgłębić przyrodę, przyroda nie może zgłębić człowieka.

Najistotniejszą jednak cechą poezji Szymborskiej, wskazującą na jej tradycję leśmianowską, jest jej kracjonizm (największa obsesja Leśmiana). Kracjonizm jest tworzeniem rzeczywistości poetyckiej „na oczach czytelnika”, wiąże się z uświadamianiem możliwości jej zburzenia. Kracjonizm więc łączy się nierozzerwalnie z deziluzjonizmem. Radość pisania jest... tylko „zemstą ręki śmiertelnej”. To ironiczny uśmiech w stronę wszystkich exegi monumentum. Dwie rzeczywistości ścierają się ze sobą w wierszach Szymborskiej — rzeczywistość snu, wspomnienia i sztuki z rzeczywistością jawy, dotykającą i bolesną. „Zbudziłam się. Otworzyłam oczy. Dotknęłam świata jak rzeźbionej rami”. Można wejść w sen, można wejść w pejzaż starego miasteczka, można być zarazem Marią Stuart, Elżbietą Tudor i Kasandrą, ale z każdego snu człowiek się budzi. Usuwają się spod nóg stworzony przez poetę świat. Na tym polega tragizm kracjonizmu. Jest to

jednak tragizm głęboko ukryty — na wierzchu pozostaje tylko ironia.

Oczywiście tradycja leśmianowska nie jest jedynym źródłem tej poezji. Historycy literatury odkrywają zapewne jeszcze i inne. Gejzery słów leśmianowskich tu się uspokoiły. Oszczędność słowa przypomina Różewicza, choć ta poezja ma zupełnie inny ton. Patrząc zawsze z perspektywy szczegółu, konkretnie, osiąga Szymborska swoisty materializm poetycki. Z materializmem tym godzi się jej filozofia przemijania. Jeden z wcześniejszych wierszy Szymborskiej stanowi motto tej filozofii. „Jesteś, a więc musisz minąć, miniesz, a więc to jest piękne”. Pytaniu o sens życia towarzyszy głębokie odczucie jego przemijania. Zawsze jednak stawia się pytanie o miejsce człowieka w świecie, choć nikt nie jest pewien odpowiedzi: „Kim jesteś, piękna maseczko?”

Tomik „Sto pociech” został, jak wiadomo, uznany przez jury Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi za najlepszy tomik poetycki 25-letnia.



Łódzkie podwórko

Wiesław Karolak

Spóźnione wspomnienie o Jerzym Zawieyskim

Pamiętam dobrze: był rok 1936, marzec, sobota. Do Starachowic, w których mieszkałem, przyjechał zespół „Reduty” z przedstawieniem sztuki „Powrót Przełęckiego”. Było to moje pierwsze zetknięcie się z tworem Jerzego Zawieyskiego i również pierwsze ujrzenie Juliusza Osterwy w legendarnej roli. Jeśli dodam, że byłam bardzo młodym chłopcem i że działo się to w przededniu mojego wyjazdu na stałe do Warszawy — okoliczności okazały się dostatecznie ważne, aby zapamiętać, co się wtedy zdarzyło. „Powrót Przełęckiego” bardzo mi się spodobał, ale nie potrafię już dziś powiedzieć, ile było w tym zasługi autora, a ile wykonawców. Zapewne zasługi rozkładają się po równo, bowiem trudno sobie wyobrazić, aby Osterwa mógł zagrać dobrze w złej sztuce. Nigdy później nie widziałem „Powrotu Przełęckiego” na scenie. Nie wiem nawet, czy był wznowiony po wojnie i jak przyjął go nowa publiczność.

A więc najpierw było spotkanie z dziełem pisarza, natomiast z nim samym dopiero w wiele lat później. Nie było tych spotkań dużo, ale zawsze wdrażały się one w pamięć i do dziś pamiętam dobrze, co Jerzy Zawieyski mówił i jak się zachowywał. Fakt, że kiedyś występował na scenie, objawiał się u niego w pewnej afekcji, specyficznej gestyce i, jak mi się wciąż wydaje, w nieco przesadnej grzeczności. Niektórzy twierdzą, że i bez tej przeszłości aktor skądś zachowywałby się tak samo, że zatem były to trwałe cechy jego osobowości. Być może, nie będę się o to spierał. W każdym razie grzeczność i delikatność Zawieyskiego oneśmiała ludzi, którzy się z nim stykali. Ale od razu muszę dodać, że Zawieyski był człowiekiem serdecznym i przyjacielskim. Umiął się nawet cieszyć jak dziecko. Widzę jego rozpochyloną twarz, słyszę wybuchy śmiechu i mam w pamięci jego żywy udział w rozmow-

wie, w której potrafił być zarówno świetnym rozmówcą jak i doskonałym słuchaczem.

W 1960 roku Zjazd Literatów odbywał się w Sopocie. Drugiego dnia Jerzy Zawieyski zaprosił Juliana Przybosia, Mariannę Piechała i pisałczkę te słowa na obiad. Spędziliśmy razem kilka godzin. Wówczas autor „Powrotu Przełęckiego” mógł jeszcze pić alkohol. Nic też dziwnego, że spełnialiśmy toast za toastem, a rozmowa toczyła się głównie wokół spraw teatralnych. Jerzy Zawieyski zajmował się intensywnie dramaturgią. Miał za sobą wiele nowo napisanych utworów jak „Wysłuchanie”, „Maski Marii Do mini”, „Miecz obosieczny”, „Rzeka niedoli” i inne. W pewnej chwili powiedział nie bez gorzkości: „Wszędzie wystawiają moje sztuki. Tylko nie w Łodzi. A ja przecież jestem łodzianinem”.

Zabolał mnie te słowa, choć autor nie kierował ich pod moim adresem. Ale że byłem wówczas kierownikiem literackim u Kazimierza Dejmki, pod koniec obiadu poprosiłem Zawieyskiego, żeby mi przysłał jedną z swoich sztuk. „Kłórną?” — zapytał. „Tę, na której panu najbardziej zależy?” — odpowiedziałem. „Dobrze. Prześle panu moją najnow-

szą rzecz „Pożegnanie z Salomeą”.

W tydzień lub dwa później istotnie otrzymałem egzemplarz tego utworu wraz z bardzo sympatycznym listem. „Pożegnanie z Salomeą” wydało mi się sztuką cenną, ciekawą i na czasie. Niestety, nie udało mi się namówić na jej wystawienie ani Dejmki, ani dyrektorów pozostałych scen łódzkich. Krzywdy tej (bo tak to chyba trzeba nazwać) teatry na szczebie nie naprawiły do tej pory. Po wojnie nie wystawił za dnia sztuki Jerzego Zawieyskiego. A przecież dwa istotne powody przemawiałyby za tym: po pierwsze, że są to rzeczy dobre, i po wtóre — że autor wywodzi się z naszego miasta. Splacił nawet ten swój dług w powieści „Gdzie jesteś, przyjacielu?” która po raz pierwszy ukazała się w 1931, a po raz drugi — w 1958 roku. Bohaterem tej wczesnej powieści Jerzego Zawieyskiego jest młody proletariusz, Jan Ostroga, a cała pierwsza część akcji dzieje się właśnie w łódzkim środowisku robotniczym w latach pierwszej wojny światowej. „Gdzie jesteś, przyjacielu?” grzeszy, zwłaszcza w części drugiej „francuskiej”, nadmiarem dywagacji światopoglądowych, ale przecież nie odbiera jej to podstawowej wartości, ja-

ką jest obraz wielkiego miasteczka z okresu wojennej pożogi i bezrobocia.

Niektórzy starzy łodzianie pamiętają Jerzego Zawieyskiego, kiedy jeszcze nazywał się Nowicki i stawał pierw sze kroki na scenie łódzkiego Teatru Popularnego. Opo wiadał mi o tym co nieco sam Józef Pilarski. I oto ten ceniony i zasłużony dla naszego miasta pisarz nie mógł za życia znaleźć drogi na łódzką scenę. Dziwne? Bardzo dziwne. Drugie pamiętne spotkanie z Jerzym Zawieyskim odbyło się w 1967 roku. Przyjechał on do Łodzi, aby w lokalu ZLP wygłosił gawędę o stanie współczesnej dramaturgii. Mówił ciekawie jak zawsze, z tą charakterystyczną u niego nutą tajemniczości, akcentując emocjonalnie sprawy, które szczególnie leżały mu na sercu. Dużo miejsca w swej wypowiedzi poświęcił tendencjom w dramaturgii zachodnioeuropejskiej. Po odczytaniu spędziłem kilka godzin na rozmowie. Zawieyski pil już niewiele, sę był bardzo ożywiony, mówił dużo i zwierzał się ze swoich planów.

„Nie piszę ciurkiem, przez cały rok — powiedział. — Miewam przerwy, nawet kil kumiesięczne. Teraz właśnie (w styczniu — przyp. mój) będę pauzował aż do wrześ-

nia. Będę działał, jeździł z odczytami, pisał jakieś rzeczy drobne i doraźne. Do czegoś większego zabiorę się dopiero na jesieni”.

Przed rokiem ukazała się jego powieść o teatrze „Kon rad nie chce zejść ze sceny”. Podał mi ją w jego wieczoru z piękną dedykacją. Cieszył się tą książką i radość jego była w pełni uzasadniona. Jest to rzecz napisana z żarliwością, autorowi udało się zawrzeć w niej wiele z tego, co stanowi o istocie polskiego losu, polskiej historii — pięknej i po krętej. Mówiliśmy też owo go wieczoru o dziennikach pisarzy. Zawieyski prowadził swój dziennik systematycznie, wydał nawet dwa tomy wybranych zapisów: „Brzegiem cienia” i „W alei bezpożytecznych rozmyślań”. Był zdania, że trzeba notować wszystko, a utwierdziła go w tym Zofia Nalkowska, której pamięci poświęcił jedną z wymienionych wyżej pozycji.

Wychowany na literaturze francuskiej, rozkochany w niej, czytał wciąż pisarzy francuskich i wciąż do nich powracał, rozkoszując się lotnością ich myśli i talentem. Z jakimż upodobaniem powtarzał zdanie z „Dzienników” Greena: „Myśl leci, a słowo idzie na plechotę — oto cały dramat pisarza”.

SEZON PEŁEN

JAN KOPROWSKI: — Na dzisiejszą dyskusję poprosiliśmy naszych recenzentów, którzy w ostatnim roku oceniali w „Odgłosach” przedstawienia łódzkich teatrów. Celem naszego spotkania jest zastanowienie się, jaki był ten sezon miniony, co w nim było cennego, a co zasługuje na zdecydowaną przyganę. Nie krępując w niczym wypowiedzi Państwa, proponowałbym, abyśmy się skupili na trzech podstawowych sprawach, a mianowicie: w jakim stopniu reprezentowana była na naszych scenach polska dramaturgia współczesna, czy w świetle zrealizowanego repertuaru można mówić o krystalizowaniu się odrębnych stylów poszczególnych teatrów oraz jaki jest stan posiadania aktorskiego i reżyserskiego. Myślę, że analiza i ocena sytuacji w teatrach łódzkich przyniosą nam odpowiedź na postawione pytania. Zapraszam Państwa do rozmowy.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI: Wypowiedź moją zacznę od kwestii najogólniejszych. Otóż jako ludzie zawodowo niemal zainteresowani życiem teatralnym zdajemy sobie sprawę ze stanu impasu, w jakim aktualnie znajduje się łódzka scena. Sytuacja ta wywołuje poczucie melancholii szerokiej kręgów odbiorców, ponieważ teatr łódzki zajmował zawsze wysoką pozycję w geografii kulturalnej Polski. Tak było nie tylko na początku wieku XX i w okresie międzywojennym, tak było także po wojnie, po ostatnim lata. A jednak aktualnie wszystko wskazuje na pewne obniżenie lotów, co może doprowadzić do roztrwonienia wartościowego przecież dorobku łódzkiej sceny. Krytycy i recenzenci o zasługę krajowym, nawet ci życzliwi, z dużą troską mówią o sytuacji, w jakiej aktualnie są łódzkie teatry. Traktując rzecz porównawczo, miniony sezon teatralny 1988/89 nie jest całkowicie chybiący, bywały bowiem w niedawnej przeszłości lata chudsze. Ale mimo wszystko trudno mówić o sukcesach, bo prawie się nie widzi tych przedstawień, które w wyrazny sposób towarzyszyłyby trudnym problemom naszego życia. Chciałbym jednak skupić się na kilku premierach wyróżniających się na tle pozostałych, raczej przeciętnych realizacji teatralnych. Pozwoli to pośrednio wypunktować linię repertuarową łódzkiej sceny.

Otóż w minionym sezonie, mimo kontrowersji jakie wywołał ten spektakl, zasługuje moim zdaniem na wyróżnienie „Wesele” Wyspiańskiego zrealizowane przez Jerzego Grzegorzewskiego. Z uwagą obserwuję warsztat reżyserski tego twórcy i uważam, że należy on do nielicznej w Polsce grupy ludzi sceny, którzy mają własną koncepcję teatru. Szkoda też byłoby Grzegorzewskiego utracić, a tymczasem słyszy się głosy o jego przenosinach. „Wesele” spotkało się raczej z nieprzychylnym przyjęciem łódzkiej krytyki, chociaż wysoko ocenili ten spektakl na Kalskich Spotkaniach tak wybitna artystka jak Skuszanka. Skąd te rozbieżności? Inscenizacyjny wzór „Wesela” przecież nie przetrwał w tradycji jako kanon, do którego trzeba nawiązywać. Myślę więc, że „Wesele” Grzegorzewskiego zostało przez łódzkich realizatorów odebrane bez zrozumienia intencji poszukiwawczych reżysera. A jest on artystą teatru w Craigowskim znaczeniu tego słowa. Integruje różne elementy tworzywa teatralnego, jest scenografem i reżyserem typu intelektualnego, a skala skrajzeń intelektualnych jest u tego twórcy bardzo żywa.

Drugim wyróżniającym się w minionym sezonie spektaklem był moim zdaniem „Taniec śmierci” Strindberga w reżyserii Aleksandra Strokowskiego, zrealizowany przez Teatr Powszechny. Cenne było w

nim zwłaszcza przełamanie tradycyjnej konwencji secesyjnej, w jakiej dotąd było grane i wydobycie elementów surrealistycznych.

Listę ambitnych premier uzupełniają „Anabaptysty” Duerrenmatta, spektakl Teatru im. Jaracza, oraz „Życie snem” Calderona, spektakl Teatru Nowego. Były oczywiście jeszcze inne przedstawienia udane, jak choćby „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę”, ale nie są to już spektakle, które mogłyby wyznaczyć linię repertuarową. Niebezpieczne jest to, że prawie wcale nie była w niej reprezentowana dramaturgia współczesna. Próba bezpośredniego zaatakowania aktualnej problematyki, myślenie tu o sztuce Wróbla „Kim jesteś inżynierze?”, jest niestety chybiona.

W świetle tego wszystkiego wydaje mi się, że melancholia publiczności łódzkiej ma jednak swoje uzasadnienie.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ: Jestem zgodny co do tego, że scena łódzka znajduje się w impasie, sądzę jednak, że nie przyczynił się do tego repertuar, różnorodny przecież i wcale ambitny. W minionym sezonie obejrzelismy przecież „Rzecz listopadową” Brylla, „Rewizora” Gogola, „Życie snem” Calderona czy „Wesele” wreszcie, co do którego zresztą różni się w ocenie z mym przedmówcą. Teatralny niedowiad Łódzi tłumaczył sobie nieuzasadnionym kompleksem niższości w stosunku do innych ośrodków, jaki niewątpliwie cechuje tutejsze środowisko teatralne. Nasi twórcy czują się nie zauważeni, nie docenieni, toteż za wszelką cenę chcą zwrócić na siebie uwagę. Mimo interesującego generalnie rzecz biorąc repertuaru, spektakle są często chybione, bo wprost przeladowane ekstrawagancjami. Szczególnie jaskrawym przykładem takich ekstrawagancji stanowi w moim odczuciu właśnie „Wesele” Grzegorzewskiego. Nie chcę tu wdawać się w szczegóły, ale jeśli realizator wieszka Wernyhorze na płaszczu budzik, to po prostu chce szokować widza. Mnie się ten budzik z niczym, niestety, nie kojarzy. Podobnie niezrozumiale jest dla mnie umieszczenie Stańczyka zamiast w fotelu, na skrzyni, gdzie na dodatek realizator każe mu się gimnastykować. Te ekstrawagancje są nie do przyjęcia. Innowacje za wszelką cenę, wbrew logice utworu, znaleźć można było także w łódzkiej realizacji „Przedwiośnia”. A tymczasem łódzka scena okazuje się najsprawniejsza i najciekawsza w rzetelnie wystawionych i tradycyjnie zainscenizowanych sztukach. Przykładem tego „Rewizor” Gogola i „Życie snem” Calderona. Podzielim natomiast niepokój mego przedmówcy w odniesieniu do ciągle niestety obserwowanego zjawiska wyjazdów artystów teatru z Łodzi. Nie tak przecież dawno przeniósł się do Gdańska Tadeusz Minc, a teraz, słyszę, wzięła go Warszawa. Warto by się zastanowić, jak ukrócić ten niepokojący drenaż talentów.

MIECZYSLAWA WALCZAK: Chciałabym wnieść tutaj nowy element do naszej dyskusji. Otóż wydaje mi się, że pomijając ciężar gatunkowy premier, scenie łódzkiej brak konsekwentnej linii działania. Śledząc repertuar na pierwszy rzut oka dostrzeżemy zupełną jego przypadkowość. Z niej chyba wytworzył się ten impas, dla którego zresztą nie może być żadnego usprawiedliwienia, bo publiczność zbyt dobrze ma jeszcze w pamięci przedstawienia doskonałe, dające satysfakcję realizatorom i widzom. Teatrów jest w Łodzi wiele, wszędzie jednak działa prawo przypadku, a większość sztuk dobiera na jest pod tzw. publiczke. Twórcy teatralni boją się nowości, bo z reguły na



Rys. Henryk Pióciennik

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

Konkurs nadziei

Rozstrzygnięto I ogólnopolski konkurs na grafikę, zorganizowany przez Zarząd Okręgu Łódzkiego ZPAP, Zakłady Artystyczne ZPAP i Graficzną Pracownię Doświadczalną w Łodzi. Ta nowa, organizacyjna inicjatywa łódzkiego ośrodka plastycznego, pomyślana jako pierwsze ogniwo w cyklu konkursowym, mającym się powtarzać co trzy lata, zaowocowała przede wszystkim obfitością nadesłanych prac. Sprzyjał temu sam regulamin konkursu nie przewidujący żadnych ograniczeń tematycznych.

Postawienie na całkowitą swobodę w wyborze tematu wypowiedzi artystycznych pozwala przy okazji wystawy pokonkursowej, przekonać się, gdzie tkwi centrum zainteresowań współczesnego polskiego artysty i jakim sprawom poświęca on spontanicznie swój talent.

Plon konkursu dał, wydaje się, jednoznaczny odpowiedź na to pytanie. Tematem ogromnie, przeważającą większość nadesłanych prac jest człowiek. Człowiek pracujący, walczący, bawiący się, człowiek radosny, człowiek zaleknioty, człowiek w rozterce; słowem — człowiek we wszystkich wariantach swego współczesnego istnienia. Jest to zresztą widoczne wprost, bez potrzeby uciekania się do głębszych analiz. Sylwetka ludzka w jednoznacznym kształcie graficznego znaku, stanowi bowiem oś tematyczną większości wystawionych prac. Ta jednoznaczność „humanizacja” zainteresowań plastyków jest zjawiskiem cennym, zasługującym na większą uwagę społeczną. Tym bardziej że forma prezentowanej sztuki ma szansę dotarcia do szerokiego kręgu odbiorców.

Oczywiście, to wrażenie podlega pewnej korekcie. Jest nią poprawka na modę, jako że żadna chyba gałąź twórczości artystycznej nie ulega tak bardzo fluktuacjom aktualnej mo-

dy, jak właśnie plastyka. Język plastyki jest uniwersalny, więc moda dociera tu szybko nie wymagając dla recepcji zabiegów pośrednich, jak ma to miejsce na przykład w literaturze. Dlatego też łatwość przyswajania nowinek powstających w światowych centrach artystycznych, daje wszystkim mniej więcej takie same możliwości w utrzymywaniu się na rynku aktualnej mody. Przeważnie są to jednak tylko pozory. Tam bowiem, gdzie jest tylko i wyłącznie moda — nie ma miejsca na indywidualność.

Te uwagi dają się również odnieść do wystawy pokonkursowej w Łodzi. Stosunkowo wyrównany poziom dużej części nadesłanych prac, przysporzył chyba musiał jurorom sporo kłopotów, kiedy okazało się jak bardzo nieodróżnialni są na podstatwie swoich prac, ukryci za godłami, autorzy. Przy natłoku prac tak bardzo do siebie podobnych, werdykt jury musiał więc być kompromisem między modą a indywidualnością. Dlatego też wśród nie nagrodzonych znajduje się również duża ilość grafik nie reprezentująca bynajmniej niższego poziomu, niż prace ujawnionych z nazwisk, a więc nagrodzonych, autorów. To samo można chyba powiedzieć o relacji nagrodzeni — wyróżnieni. Odnosi się to również do propozycji Janusza Przybylskiego — laureata I nagrody. Grafiki jego, mimo ich niewątpliwie efektywności, nie mają w sobie za wiele oryginalności. Myślę, że nie ustępują im w niczym publicystyczne akwaforty opatrzone godłem „Berenices”.

Większe wątpliwości budzić może II nagroda Marii Łuszczkiewicz-Jastrzębskiej, autorki beznamiennej pracy, nie sprzyjającej większego wrażenia. W zestawieniu z II nagrodą Detynieckiego, grafika Jastrzębskiej jest zjawiskiem mocno przeciętnym. Podobne zestawienia

można jeszcze robić w innych przypadkach.

Pośród szesnastu nagród i wyróżnień, łódzianom przypadła jedynie III nagroda Stanisława Fijałkowskiego oraz wyróżnienie Ireneusza Pierzgałskiego. Niezwykle lapidarna w środkach wyrazu sztuka Fijałkowskiego, będąca jaskrawym zaprzeczeniem wyidealnej wprost gadatliwości wielu wystawionych prac, dostarcza zawsze głębokich przeżyć estetycznych, jakie budzi ta twórczość wynikająca z głębokiego przemyślenia. Ciekawe jednak, że ta poetycka, ale bardzo hermetyczna sztuka, doczekała się na wystawie naśladowców, czy — jak kto woli — epigonów. W dwóch przynajmniej przypadkach nie powinno to budzić wątpliwości.

Wyróżniony tylko Ireneusz Pierzgałski pokazał sztukę oczyszczoną ze zbędnej anegdoty, proponując — zwłaszcza w swoim pięknym dyptyku — filozoficzne zamyślenie nad miejscem, jakie zajmuje człowiek we współczesnej cywilizacji. Jest to twórczość niełatwa, wymagająca od widza znacznego intelektualnego zaangażowania.

Jest zresztą na wystawie znacznie więcej prac o dużej wartości artystycznej. Reprezentują wielu wybitnych grafików z całej Polski, laureatów znanych nagród zagranicznych. Można to odnotować na chlubę łódzkiego konkursu. Ujawnianie nazwisk w tym miejscu byłoby, oczywiście, niezgodne z koncepcją wystawy pokonkursowej, gdzie ogłasza się jedynie nazwiska twórców nagrodzonych.

Daje się zauważyć wpływ malarzy i koncepcji sztuki Segui na twórczość naszych młodych grafików. W jednym przypadku doprowadziło to nawet do wyraźnego plagiatu.

Mimo pewnych uchybień natury pozaorganizacyjnej, konkurs był cenną inicjatywą i spełnił — jak sądzę — pokładane w nim przez łódzkie środowisko nadzieje. Z nadzieją też należy oczekiwać II ogólnopolskiego konkursu za trzy lata. Wszystkie bowiem wskazują na to, że poza dorocznym festiwalom poezji, Łódź otrzyma jeszcze jedną artystyczną imprezę o ogólnopolskim zasięgu i znaczeniu.

i w ankach, innymi metodami, które w pewnym momencie znalazły punkt zbieżny — był nim Sąd dla Nieletnich.

Przykład pierwszy. Zbyszek urodził się w 1957 r. w Łodzi. Rodzice rozeszli się w pierwszym roku życia dziecka, które pozostaje przy matce i jej przyjacielu. Dziecko oddane jest do tygodniowego żłobka, po ukończeniu trzech lat wychowuje się w przedszkolu, z którego przeprowadza go najczęściej wychowawczyni, gdyż po chłopcu nikt nie przychodził. Tatusz pojawia się w domu w przerwach między wyjazdami bądź to na Ziemię Zachodnią bądź na Śląsk. Wprawdzie jego pobytu w Łodzi są krótkie, ale burliwe — awantury, kłótnie, bijatyki. Przyszły moment pójścia do szkoły. W życiu Zbyszka tak jak w życiu każdego siedmiolatka, był to moment przełomowy, wymagający ze strony rodziców serdeczności i większego zainteresowania się dzieckiem, na które spadły pierwsze poważne obowiązki. Zbyszek został uczniem, często zdarzało się, iż nie trafił do

szkoły, a jeżeli trafił, bił się z kolegami, przywłaszczał sobie ich rzeczy. Skierowany został na badania, stwierdzono odchylenie od normy i skierowano go do szpitala chorób układu nerwowego w Świeciu, gdzie przebywał trzy lata. Lekarze stwierdzają u dziecka encefalopatię — zaburzenia centralnego układu nerwowego. Wynikające zaburzenia można zahamować prawidłowym postępowaniem wychowawczym i systematycznym podawaniem leków. Trzeba otoczyć dziecko opieką lekarską ale przede wszystkim rodzicielską.

Wydawałoby się, że pojawienie się ojca w szpitalu sprzyjać będzie dalszemu, prawidłowemu rozwojowi Zbyszka, który opuszcza szpital z ojcem. Opieka tatusia, jego cierpliwość i systematyczność szybko kończy się (matka założyła już nową rodzinę). Tato zaczyna coraz więcej pić. Zbyszek spędza czas bez opieki, popada w konflikt z prawem. Trafia do zakładu zamkniętego dla dzieci wychowawczo trudnych, jakim jest Reymontówka. Praca z Zbyszkiem jest trudna tak ze względu na

jego postawę jak i częste ucieczki z zakładu. Stan zdrowia pogarsza się — tym razem chłopiec trafia do szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych. Pobyt chłopca w szpitalu wpływa korzystnie na jego zachowanie, jest spokojniejszy a nawet koleżeński. Zwalniany do domu wraca w wyznaczonym terminie. Jego wizyty w domu nie są mile widziane przez ojca, dlatego też wraca do Reymontówki. Trzy lata pobytu w zakładzie, 10 razy nie klasyfikowany z powodu nieobecności na zajęciach szkolnych, a jeżeli jest na lekcji to znajduje się w ciągłym ruchu, wychodzi z ławki podczas lekcji, gwizduje, śpiewa, drze zeszyty i książki. Nie stosuje się do żadnych nakazów, zakazów, do personelu odnosi się arogancko, nawet grozi skargą. Podczas ucieczek z Reymontówki wala się po mieście, dokonuje kradzieży — raz są to pieniądze, innym razem rower. Zna przy tym doskonale Łódź, co przydało mu się w zawarciu znajomości z obywatelami szwedzkimi, którzy nie znając Łodzi prosili o infor-

mację, której udzielił im właśnie Zbyszek.

Powierzchniowość chłopca, sympatyczna buzia wydała się tak przekonywująca, iż Szwedzi zaprosili chłopca, który miał im służyć jako przewodnik po mieście, do auta. Po kilku godzinach goście wiedzieli o okrutnym losie chłopca, który nie ma rodziców a na życie zarabiał sam. Zdecydowali się — zaadoptować chłopca. Zadzwońni do Reymontówki. Kiedy dowiedzieli się prawdy o chłopcu, nie uwierzyli, z oburzeniem rzucili słuchawkę. Dobra passa Zbyszka trwała przez trzy następne dni i kto wie jak zakończyłaby się znajomość chłopca ze Szwedami, gdyby nie odezwały się nawyki i chęć przywłaszczenia kilku „drobnostek” z auta cudzoziemców. Teraz Szwedzi byli przekonani o tym co usłyszeli podczas rozmowy telefonicznej. Dla chłopca była to kolejna kradzież, a znajomość skwitował cynicznym stwierdzeniem: „Jak się dał nabierać to co miałem rezygnować”. I znów powrót do Reymontówki.

Drugi przykład. Andrzej jest

MIROSLAWA SIRA

O dwóch takich co ukradli...

Są tematy, które trafiają na łamy gazet, czasopism, tych nawet najbardziej szacownych. Mam na myśli problemy dotyczące młodzieży. O młodzieży pisze się dużo, dobrze i źle, pozytywnie i negatywnie. Pisze się dobrze przy okazji sukcesów młodych naukowców, muzyków, zespołów tanecznych czy sportowych, przy okazji konkursów, festiwali, spartakiad, na których młodzi ludzie zajmują pierwsze miejsca, nagrody, zbierają laury. Mówi bądź pisze się źle przy okazji złego zachowania, wybrzyku chuligańskiego, niestosownego zachowania, najczęściej kwitując znanym

powiedzeniem „tak cię szkoła wychowała”. Na szczęście coraz rzadziej słyszy się takie i podobne zdania, nie dlatego że konfliktowych sytuacji jest mniej, ale z racji szerszego, zmodernizowanego spojrzenia społeczeństwa na problem, któremu na imię „wychowanie młodego pokolenia”.

Czy istotnie wychowanie młodzieży to obowiązek tylko szkoły, jaką rolę w tym procesie ma do odegrania rodzina, społeczeństwo?

Przedstawię dwa przykłady chłopców, wywodzących się z dwu różnych rodzin, wychowanych w innych środowiskach

MELANCHOLII

spektaklach trudniejszych tworzy się pustka, natomiast dużym powodzeniem cieszą się realizacje typu rozrywkowego. Tym prawom rynkowym, ulega chyba także krytyka, skoro „Wesela”, spektakl ambitny, spotkało się z tyloma zastrzeżeniami.

Sztuk współczesnych w minionym sezonie właściwie nie było, bo na uwagę zasługują tylko „Rzecz listopadowa” Brylla, a to niewiele. I właśnie bardzo brak twórczej pasji wtrącają się do życia z całą beceremonialnością i bezkompromisowością. Nie wiem czy to najwłaściwsza recepta, ale w moim odczuciu najszybciej tematyka współczesna mogłaby się zaprezentować w Łodzi poprzez scenę satyry, której brak dotkliwie zresztą odczuwa Łódzka publiczność. O zapotrzebowaniu na lepszą świadczą może powodzenie spektaklu „Kochany panie Ionesco”, który gościnnie wystawił w Łodzi warszawski STS. Zajęte były nie tylko wszystkie siedzące miejsca, ale każdy w ogóle wolny centymetr przestrzeni. Bo też spektakl STS celnie trafił w najbardziej aktualne, nurtujące wszystkich problemy życia codziennego.

W Łodzi funkcję niby teatru satyry pełni Teatr 7.15, który wystawił ostatnio dwie współczesne sztuki „Stendhal i Ska” oraz „Znamy cię tylko z widzenia”, ale artystyczny poziom zarówno spektakli jak i tekstów przedstawiał wiele do życzenia. Szkoda, że Teatr 7.15, wykorzystywany zresztą jako druga scena Teatru im. Jaracza, zapomniał o swoim właściwym przeznaczeniu.

Powiedziano tu już sporo o najciekawszych spektaklach sezonu, ja bym chciała podnieść parę uwag o reżyserii. Otóż o indywidualności realizatora można mówić co najwyżej w przypadku „Rzeczy listopadowej”, „Anabaptystów” czy „Wesela”. Natomiast zdecydowana większość przedstawień jest w Łodzi robiona metodą rzemieślniczą, to znaczy poprawnie, ale nie ponadto. Natomiast nieporozumieniem wydaje mi się powielanie istniejących inscenizacji, a przykładem tego są „Parady” i „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę”. Większość teatromanów na ogół pamięta warszawskie realizacje tych sztuk i nie zadowolili ich imitacja oryginału. Kopia, nawet arcydziela, pozostaje tylko kopia. A często się u nas zdarza, że za reżyserie biorą się aktorzy, którzy przystępują do tego trudnego zadania, dysponując jedynie swoim własnym aktorskim doświadczeniem, a to za mało, aby stworzyć coś ciekawego. A skoro już jestem przy aktorach... Należałoby zadać sobie pytanie, gdzie się podziwiają młodzi, zdolni adepci sztuki aktorskiej? Czy w ogóle ich nie ma? Trzeba by tu dotrzeć do samego podłoża, do łódzkiej szkoły aktorskiej: czy naprawdę nie potrafi wydać żadnej indywidualności i ogranicza się uparcie do produkcji przeciętniaków.

Kończąc moją wypowiedź chciałabym zwrócić uwagę na Teatr Ziemi Łódzkiej, bo jest on na ogół, całkowicie niezastępowany, nie dostrzegany i nie doceniany. A przecież mimo niezadawalających warunków pracy potrafi ten teatr często zaproponować publiczności rzeczywiście coś ciekawego.

KONRAD FREJDLICH: Przechyliłbym się do tych głosów, które poddają w wątpliwość istnienie linii repertuarowej łódzkiego teatru jako całości. I w tym fakcie upatrywałbym wszelkie słabości dzisiejszego stanu rzeczy. W przeszłości nazwa sceny była jednocześnie wykładnikiem jej propozycji artystycznych. Dziś są to całkowicie puste nazwy, różnice między teatrami całkowicie się zatępiły. A co gorsza wszystkie łódzkie sceny chcą jednocześnie wyręczać nie istniejący w tym ogromnym

mieście teatr satyry, często, niestety, poprzez realizację z pogranicza chałtury. I tu zgodziłbym się z panią Walczak, że brak wyspecjalizowanej sceny satyry bardzo niekorzystnie odbija się na linii repertuarowej łódzkiej teatrów.

Wydaje mi się, że zbyt ciepło wita się każdą premierę zadowolając się samą poprawnością warsztatową. A Łódź, która niejedną raz w historii była teatralną stolicą Polski, stać na coś o wiele ambitniejszego. Po prawdzie to rozumiem i ja doświadczyłem trudną sytuację recenzentów. Przecież każdy już nie tyle krytyczny, co choćby tylko mniej entuzjastyczny głos recenzenta odczytywany jest przez środowisko teatralne jako atak i nieżyczliwość. Byłem zresztą niedawno na spotkaniu z przedstawicielami teatrów, gdzie żalono się, że postawa łódzkiej prasy odbiera aktorom chęć do życia nie mówiąc już o grze. A jednak temu naporowi środowiska teatralnego, w interesie publiczności i dobrego imienia miasta, trzeba się będzie przeciwstawić. Łamy naszych czasopism nie mogą się zamieniać w „Gazetę Handlową”, która reklamuje towary. Krytyka musi pośredniczyć między teatrami a publicznością, ale nie ma prawa wprowadzać ludzi w błąd, nie ma prawa chwalić tego, co na pochwałę nie zasługuje. To byłoby po prostu niesocjalistyczne. To byłoby powstrzymaniem edukacji kulturalnej naszego społeczeństwa.

Świadomie mówiłem tutaj o sprawach ogólniejszej natury, bo jeśli chodzi o ocenę minionego sezonu, to wydaje mi się, że moi przedmówcy wymienili już najwartościowsze realizacje. Z tym, że dla mnie żaden łódzki spektakl nie był niestety ciekawy, na miarę ambicji Łodzi.

JAN KOPROWSKI: Pozwolę sobie tu na pewną uwagę. Charakter teatru zależy od charakteru jego dyrektora. Jeśli kierownik artystyczny nie ma bogatej osobowości, nie stworzy on żadnego stylu. Obserwujemy rozwój drobnych pomysłów, ogrywanie, często bardzo sprawne, detali, ale brak idei. A idea artystyczna daje teatrowi myśl i przydaje skrzydeł.

ROMAN LOBODA: Poparibym wypowiedź Frejdlicha w tych partiach, gdzie mówi o profilu teatrów. Bo z nazwy odpowiadają swemu charakterowi tylko Teatr 7.15, ponieważ dokładnie o tej godzinie zaczynają się w nim przedstawienia. A to oczywiście niewiele. Możemy się oczywiście pocieszać, że na całym świecie istnieje kryzys dramaturgii. W Polsce odczuwamy go szczególnie boleśnie, bo nawet ten skromny nasz stan posiadania, którym dysponujemy, nie jest właściwie wykorzystywany. Wprawdzie Filler pisał niedawno, że kryzysu żadnego nie ma, bo są sztuki współczesne, zaś w tym samym tygodniu na innych łamach Puźyna uzasadniał twierdzenia przeciwnie, ale chodzi o to, żebyśmy tutaj, w Łodzi, nie popadali w podobne sprzeczności. Bo chociaż apelujemy ciągle o śmielsze poczynania teatrów, śmielsze inscenizacje, to przecież w gruncie rzeczy nic z tego nie wynika. Sztuki zawierające element ryzyka jakoś nie mogą trafić na łódzkie sceny. Wystawia się rzeczy tak „wygrane”, że wytarte na lokalach. Kiedy realizator decyduje się odświeżyć nieco spektakl, spotykają go zarzuty. Weźmy choćby przykład łódzkiego „Wesela”. Wiele rzeczy nas tam razi, ale przecież żeby teatr był współczesny, nowy, narodowy i śmiały, to my sami musimy uwolnić się od pewnych nawyków. Inna sprawa, że często sztuka jest mylnie adresowana. Nie rozumiem choćby dlaczego Witkacego wystawia się w Teatrze 7.15. Gdyby istniała scena preferująca insceni-

zacje awangardowe, na pewno zdobyłaby sobie własną publiczność. Teatr musi mieć fizjonomię, musi się czymś różnić od innego teatru, ale w Łodzi nie zwraca się uwagi na tę sprawę. Myślę że i nasza dzisiejsza dyskusja nie zmienia, niestety, sytuacji.

Jeśli chodzi o aktorstwo to uważam, że reprezentuje ono przyzwoły poziom. Ale to mała pociecha, bo kryzys dotyczy dramaturgii. Jest to zresztą nie tyle kryzys samej dramaturgii, co zaufania. Sztuk w istocie nie brak, tylko teatry ich nie wystawiają. Zamiast sięgać po nowych autorów, teatry adaptują sprawdzone już książki. Nie chcą próbować. Asekuracja przesuwa się zresztą tak daleko, że teatry koczują gotowymi zupełnie ściętkami przeschwiebiając nawet gotowe koncepcje inscenizacyjne. Prowadzi to oczywiście do zupełnego zacierania się linii artystycznej.

W ocenie wyróżniających się w Łodzi sztuk zgadzam się z przedmówcami, chociaż muszę stwierdzić, że ogólnie repertuar nie jest ambitny, inscenizacje są mało odkrywcze i nie widać zupełnie idei artystycznych, chociaż samo wystawienie sztuk nie jest najgorsze. Ale nasze utyskiwania wynikają przecież z szerszej skali porównawczej i z szerszej płaszczyzny.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ: Inscenizacja powinna przybliżyć tekst i spektakl do publiczności. Dlatego raz jeszcze wyrażam mój sprzeciw wobec ekstrawagancji „Wesela” i „Przedwiośnia”. Natomiast brońmy łódzkie teatry przed zarzutem asekuracyjności. Sięgają one nie tylko po sztuki wypróbowane gdzie indziej. „Życie snem” Łódź wystawiła przed Warszawą i aktorsko spektakl łódzki jest lepszy. Myślę, że mamy tutaj rzeczywiście dobre aktorstwo.

JAN KOPROWSKI: Wnoszę poprawkę. Wydaje mi się, że mamy dobrych aktorów, natomiast z dobrym aktorstwem sprawa się komplikuje. Bo dobre aktorstwo i dobrzy aktorzy to dwie różne rzeczy. Nie brak ludzi utalentowanych, ale przez aktorstwo możemy rozumieć ogólny poziom przedstawienia, w którym wszyscy podporządkowani są przewodniej idei artystycznej, stylowi właśnie; gdzie jest pełne zrozumienie tekstu, opanowanie rzemiosła i swoisty klimat, który wszystko cementuje. No tak, ale to już temat do oddzielnej dyskusji. Tymczasem chciałbym Państwu podziękować za podaną, jak sądzę, rozmowę, z której wypływają jasne i konkretne wnioski. Chodzi o to, aby je wreszcie zacząć wcielić w życie.



Fot. Jerzy Sierosławski

chłopcem, którego rodzice żyją, pracują na kierowniczych stanowiskach, cieszą się dobrą opinią tak w pracy jak i w mieście zamieszkania. Zarabiają dobrze. Andrzej jest ich drugim synem. Kiedy chłopcy zaczęli chodzić do szkoły, rodzice rozpoczęli budowę jednorodzinnego domu. Codziennie dojeżdżali na plac budowy, początkowo z synami. Wkrótce Andrzej dochodził do wniosku, że na placu nie się ciekawego nie dzieje, w związku z tym woli zostać w domu. Gdzie przebywa i z kim nie wiadomo. Rodzice mają kłopoty związane z budową, a tymczasem chłopiec coraz bardziej wymyka się spod kontroli rodziców. I kiedy w domu pojawia się funkcjonariusz MO, rodzice są zdziwieni, ba, zaskokowani. Ale budowa domu dobiega końca, trzeba ukończyć to o czym marzyło się od lat. Andrzej przebywa w towarzystwie kolegów, z którymi okrada kłosek, w kolejności idą komórki sąsiadów. Sprawa trafia do Sądu dla Nieletnich, 16-letni chłopiec jest już recydywistą, rodzice zaś uświada-

miają sobie fakt, że wprawdzie zbudowali dom wygodny i solidny ale jednocześnie zaprzepaścili szansę wychowania swojego syna. W obydwu przypadkach funkcje wychowania przechodzą w ręce nauczycieli, wychowawców, kuratorów zawodowych lub społecznych. W obydwu przypadkach dziecko umknęło z pola widzenia rodzicom, stało się balastem życiowym, przeszkadzającym w życiu rodziców lub realizacji własnych celów. Rodzice nie wiedzą co robić, są bezradni, nie mają wpływu na dziecko, przychodzą do szkoły, do sądu z prośbą o pomoc. W takich przypadkach jest nadzieja, iż praca nad dzieckiem trwa, że coś się robi, ale ile jest przypadków takich, że rodzicom jest obojętne co dzieje lub stanie się z ich dzieckiem. Jakże są przyczyny wykołeczenia się i przestępczości nieletnich? Jednym z rozpowszechnionych, a błędnych przekonań jest sprowadzanie przyczyn przestępczości do organicznego zwy-

rodnienia jednostki. W języku potocznym przekonanie to wyraża się tezą: „ludzie rodzą się przestępcami”. W nauce tezę tę rozwinął w XIX w. włoski lekarz i kryminolog, Cesare Lombroso, który przyczyn przestępczości upatrywał wyłącznie w dziedziczności, atawizmie i degeneracji jednostki. Lombroso twierdził, że istnieje ściśle określony typ przestępcy i dzięki temu można po określonych cechach kształtu czaszki, uszu, podniebienia itd. określić przynależność do typu przestępczego. Pogląd ten jest oczywiście niesłuszny, o czym przekonał się sam Lombroso. Poglądowi temu zadają kłam liczne wypadki resocjalizacji młodocianych i dorosłych. Gdyby teza Lombrosa o wrodzonym i fatalistycznym charakterze cech przestępczych była słuszna, wówczas wszelkie usiłowania wychowania przestępcy, zawrócenia go na drogę uczciwego życia byłoby przedsięwzięciem beznadziejnym. Drugi pogląd na przyczyny przestępczości polegał na do-

szukiwaniu się przyczyn w ujemnych wpływach środowiska. I ten pogląd znajduje swoje odbicie w potocznych sądach wypowiadanych na temat przestępczości. „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”, „czym skorkupka za młodu nasiąknie, tym na starość trać”, i tym podobne aforyzmy. Nie negując wpływu wychowawczego środowiska (rodzice, koledzy, znajomi etc.) ani jego znaczenia w wykołeczeniu się młodocianego przestępcy, trudno się zgodzić z tym, że określone środowisko zawsze i wszędzie determinuje rozwój jednostki. Przeczą temu między innymi życiowe losy dzieci wychowanych w identycznych lub tych samych środowiskach. Szukając przyczyn wykołeczenia się nieletnich dopatrymy się ich w błędach wychowawczych i to popełnionych głównie przez rodziców. Na czoło wysuwa się tutaj sprawa zbyt surowej lub zbyt łagodnej dyscypliny w domu rodzicielskim, nierówności, wpadającej ze skrajności w skrajność metody postępowania matki lub ojca wobec dziecka, co narusza rów-

nowagę psychiczną dziecka i pobudza je do wybuchów buntu, nieraz właśnie przez czyny przestępcze. Pedagogika socjalistyczna proces wychowania traktuje szeroko i rozpatruje w ścisłym związku z całokształtem społeczno-ekonomicznymi warunków, w jakich dana jednostka się rozwijała. Pozytywne przemiany i przeobrażenia ustrojowe, wielkie i gwałtowne procesy industrializacyjne, włączenie do produkcji kobiet na równych prawach z mężczyznami, zjawisko migracji młodzieży wiejskiej do nowych ośrodków przemysłowych — wyrwane z tradycyjnych grup wsi setki tysięcy młodych ludzi, którzy wkraczali w nowe miejskie warunki życia i nieraz burzliwie przechodzili okres przystosowania się do nowych warunków, spowodowały i powodują zakłócenia w funkcjonowaniu dotychczasowych struktur społecznych, które zastąpione zostały socjalistyczną strukturą zbiorowości społecznej. Organizacja i funkcje rodziny w zmienionych warunkach społeczno-ekonomicz-

nych muszą ulec pewnym przeobrażeniom. Obecna struktura społeczeństwa i ekonomika wymaga często aby oboje rodzice zajmowali się pracą zarobkową, w związku z tym jakaś część opiekunów-wychowawczych obojczyków nad dzieckiem przejąć musi państwo i społeczeństwo. A więc wzrost placówek opiekuńczo-wychowawczych, przygotowanie odpowiedniej ilości kadry, odciążenie szkół od dużej ilości klas i zmian. Ważnym środkiem zapobiegawczym przestępczości nieletnich jest również wytworzenie w społeczeństwie dorosłych takiego stosunku do dzieci i młodzieży, w którym miłość i sympatii towarzyszyłaby baczną uwagą i natychmiastowe reagowanie na każdy objaw niewłaściwego zachowania na ulicy, w kinie czy na klatce schodowej. Nie ma bowiem dzieci swoich i cudzych, są tylko dzieci nasze i od nas zależy, w jakim kierunku będzie postępować ich rozwój.

Uczmy się od przyjaciół

Ktoś, kto powiedział „podróże kształca” — musiał to zrobić dawno. Na pewno grubo przed powstaniem pierwszych biur podróży, które szybko zdały sobie sprawę z wielkiej przydatności tego rodzaju sloganów. Boję się jednak, że „oświatowy” charakter trafnego odkrycia ulega szybkiej i stałej dewaluacji. A szkoda. Sam pamiętam czas, kiedy wyprawa za najbliższą nawet granicą między była wydarzeniem rzadkim i niezwykłym, ten zaś, kto dostąpił owego szczęścia, starał się mieć uszy i oczy szeroko otwarte, aby tam właśnie, u najbliższych sąsiadów, jak najwięcej zobaczyć, usłyszeć — „wyszkalać się”.

Dziś przeciętny Polak zamiast wyjeżdżać do ciotki Heli mieszkającej w Kutnie lub na Podkarpaciu, pakuje niewielką walizkę i pośpieszonym pociągami lub zgiła samolotem gna do Mamai, nad Bałaton czy na Krym. Twierdzi, że tamtejsza kuchnia lepiej mu odpowiada, że nie ma pieniędzy na spędzenie urlopu w kraju lub po prostu tłumaczy, że przywykł do klimatu śródziemnomorskiego. To, co dawniej było wielką podróżą, teraz jest tylko turystycznym wypadem. Prawdziwa podróż zaczyna się dopiero od pożegnania naszego kontynentu.

Tak, podróże już nie kształca. Lub kształca tylko podróżującego. Bo jakże tu szerszemu gronu zaimponować opowieściami o urokach Budapestu, Leningradu czy Sofii, skoro każdy już tam był? Swoje odkrycia wstydliwie zachowujemy na własny, prywatny użytek. Ba, zrozumieli to również globtroterzy-reporterzy, którzy nieślycnie rzadko piszą teraz o rzeczach tak powszednich jak lokale strip-teasowe Paryża, czy corrida w Madrycie. Teraz pisze się o obyczajach plemion mieszkających w górnym biegu Amazonki, albo o Haiti. Reporterskie poszukiwania idą w kierunku egzotyki, bo jej właśnie oczekuje zbłądowany, podróżujący na mniej szych dystansach czytelnik. Ale czy wiele możemy nauczyć się — w sensie praktycznym — konsumując naj-

bardziej nawet wyszukane egzotyki? Sądzę, że nie. I jestem zwolennikiem hasła: uczmy się od przyjaciół. Albowiem to właśnie oni żyjąc w warunkach w przybliżeniu — takich samych jak my, rozwiązyali sobie cały szereg problemów, o które od lat my się przewracamy. Niech kształca nas nawet te najbliższe podróże. I niech wnioski z tej nauki trafiają często do naszej codziennej praktyki.

Miałem przed paroma dniami okazję do sprawdzenia niektórych obiegowych opinii, dotyczących Bułgarii.

Kultura bułgarska u swojego zarania, które przypada na wieki grubo wcześniejsze niż początki kultury polskiej — była tworem niesłychanie złożonym. Na jej ogólny kształt nakładały się przecież, mieszały i wzajemnie przenikały różne wpływy. Swoją kulturę wytworzyli Trakowie, pierwsi, niemal legendarni mieszkańcy tej ziemi, potem Grecy, Rzymianie. W połączeniu z późniejszymi wpływami Cesarstwa Bizantyjskiego, nie mówiąc już o bliskości kultur Wschodu, musiało to dać niesłychanie interesujący i barwny konglomerat. Materialne ślady tych kultur rozsiane są po całym dzisiejszym terytorium kraju i stanowią słuszy powód dumy Bułgarów. Te warunki historyczne zdecydowały o kształcie współczesnej kultury bułgarskiej, sprawiły, że jej obecna postać jest szalenie fascynująca — choćby przez odrębność w stosunku do innych kultur europejskich. Rzecz w tym, że przez długie wieki kultura Bułgarii manifestowała się nie w wybitnych dziełach sztuki, tworzonej przez osamotnionych twórców wielkiej miary.

Wszystko lub prawie wszystko co było w kulturze Bułgarii najwartościowsze — przetrwało przede wszystkim w kulturze narodowej, ludowej. I rzecz jasna, to ona właśnie stanowiła przedmiot najostrożniejszych, choć daremnych ataków. Obydwa te czynniki stanowią o rodzaju współczesnej kultury bułgar-

skiej, dyktują też jej kierunki rozwoju, wpływają na poszukiwania twórcze najbardziej nawet nowoczesnych twórców. Sytuacja ta w sposób decydujący determinuje również społeczne zapotrzebowanie na określony rodzaj kultury.

Nam, przesiąkniętym wpływami kultur zachodnich — i to zarówno w obrębie tego co tworzymy, jak i tego co odbieramy, model kultury bułgarskiej wydaje się nieco stałości. Bo nie umiemy sobie wytłumaczyć inaczej niż staroświeckością i może zakamł administracyjnymi faktami, że może istnieć kultura bez szokujących eksperymentów malarskich, bez zachodniej awangardy teatralnej, bez amerykańskich filmów i seriali telewizyjnych. A jednak jest inne wytłumaczenie: po prostu może nie być zapotrzebowania społecznego na te produkty. Oczywiście sytuacja taka ma swoje dobre i złe strony. Do dobrych należy niewątpliwie fakt, że kultura taka nie ma nic wspólnego z kosmopolityzmem, jej masowość jest sponiatnia i naturalna, nie oglupiana całym masami ersatzów. W warstwie twórczej jest to jednoznaczne z unikaniem naśladowania, nie zawsze do końca sprawdzonych wzorów, znaczy to również, że nie ma miejsca na rozliczne, czasem śmieszne, a czasem wręcz szkodliwe snobizmy. I właśnie to wszystko sprawia, że nie ma w kulturze Bułgarii tego zjawiska, z którym my od lat się spotykamy: nie ma jakiegoś zasadniczego rozdźwięku na linii twórcy — odbiorcy.

Z drugiej zaś strony taki model kultury powoduje, że tylko nieliczne dzieła współczesnej literatury bułgarskiej znajdują chętnych czytelników poza granicami kraju, że — jeśli idzie o malarstwo — cenę się przede wszystkim to, co należy do historii, że teatr bułgarski należy do najbardziej tradycyjnych w Europie. Nie zapominajmy jednak o tym, że to co w efekcie twórczych kontynuacji czy przetworzeń wynika bezpośrednio z kultury lud-

wej, narodowej — jest najtrwalsze i daje dzieła największe. Choć oczywiście jest to proces długi i rzadko przy noszący natychmiastowe efekty. Jeśli więc uznać, że tych efektów jeszcze nie ma — trzeba się ich spodziewać w najbliższej, jak sądzę, przyszłości.

Tymczasem zaś — aby już odejść od tych akademickich nieco rozważań — jest to, co jest. Wielki szacunek dla historii, z czego wynika olbrzymia ilość pomników wielkich i mniejszych bohaterów narodowych. Wielogodzinne koncerty muzyki ludowej w radio — przy błogosławionym z początku absolutnym braku big-beatu.

Bardzo prężny, świetnie rozwijający ruch amatorski — obok kasy i variete na wybrzeżu Morza Czarnego. Pustka na ulicach kiedy na ekranach telewizyjnych rozgrywa się kolejny odcinek przygód naszego narodowego herosa, kapitana Klossa. Cudowne ikony bułgarskie obok wcale nie świetnego współczesnego malarstwa. Wspaniały, wielopiętrowe, gmachy, obok przyćmiewającego budownictwa. I narzekania bułgarskich kolegów pisarzy, że w ich kraju wydaje się zaledwie 100 tomików poetyckich na rok, w nakładach tylko dwutysięcznych. Szybko sobie przeliczyłem: w Bułgarii mieszka niespełna 9 mln ludzi, pisarzy jest około 300, U nas 32 mln — pisarzy około 1.000. No i nietrudno zrozumieć dlaczego ani słowem nie wspominałem o 500-egzemplarzowych nakładach książek poetyckich.

Sądzę, że nie zachodzi tu potrzeba szerszego motywowania hasła zawartego w tytule felietonu — „Uczmy się od przyjaciół”. Sądzę również, że nauka ta nie powinna na wynikać wyłącznie z poznania i przenoszenia pewnych rozwiązań skomplikowanych spraw na nasz, polski grunt. Podróże — nawet te bliskie, do przyjaciół — w dalszym ciągu kształca. Dzięki nim bowiem nie tylko po znamy. Uczmy się również jak z pewnym dystansem spojrzeć na nasze, własne sprawy.

OBIEKTYW

PÓZNYM WIECZOREM

Dobrze, że nie wyłączyłem telewizora w dniu 17 lipca przed końcem programu. Ominęłoby mnie okazja uczestniczenia w jedynej w swoim rodzaju rozmowie. Na tle przeciętnego poziomu programu telewizyjnego, obniżonego jeszcze w porze kanikuly, ta wieczorna rozmowa zabyła w sposób nie oczekiwany.

Rozpoczął ją starzec ponad osiemdziesięcioletni, o pięknych, szlachetnych rysach. Tadeusz Kotarbiński! W człowieku tym zogniskowała się cała epoka polskiej nauki i kultury. Mówi językiem prostym, ale wykwintnym, kontrastującym z niedbalstwem językowym, z którym stykamy się na co dzień, między innymi na antenie telewizyjnej. Profesor Kotarbiński narzuca swoim sformułowaniom surową dyscyplinę, skupia się bez reszty na temacie rozmowy i w sposób ewidentny przeprowadza demonstrację procesu intelektualnego.

Kto zna profesora Kotarbińskiego z wykładów uniwersyteckich, ten wie, że żadnej sprawy nie traktuje on w sposób lekceważący czy zdawkowy. Poruszając jakikolwiek temat, koncentruje się wewnętrznym, czego widomym znakiem jest lekkie przykniecie oczu. I taki sam był przed kamerami telewizji. Ani odrobiny dystansu wobec rozmówców, dystansu, który można by tłumaczyć sędziwym wiekiem i wiedzą, nie europejskiego już, lecz światowego formatu. W miejsce tego prostota, naturalność, wrodzona elegancja i życzliwość uśmiech dla wszystkiego co ludzkie.

Nie chciałbym być źle przez czytelników zrozumiany. Nie chodzi mi o penn pochwalny na rzecz Profesora, który tego rodzaju potwierdzeń nie potrzebuje. Pisałem tylko swoje wrażenia wywołane uważaniem się i zachowaniem Tadeusza Kotarbińskiego na ekranie telewizyjnym. Osobom, które częściej czytają T-O, znane są tego typu poszukiwania przyczyn telewizyjnego sukcesu.

Osoba profesora Kotarbińskiego obrośla już wrecz legendą. Nie dziwnego więc, że on był osi, wokół której toczyła się rozmowa. Nawet w wypowiedziach Adama Hanuszkiewicza (który był drugim bohaterem programu) można się było dopatrzeć pewnego oneśmienia w intelektualnej konfrontacji z wielkim uczonym. Pierwszy chyba raz widziałem Hanuszkiewicza oneśmionym.

Rozmowa dotyczyła muzyki i roli jej w życiu ludzkim. Prowadzący ją red. B. Jankowski zapraszając do niej Kotarbińskiego i Hanuszkiewicza, świadomie zrezygnował z zawodowych muzyków. Wówczas program nabrał cech fachowości, a specjaliści znalazłby się co najwyżej do poziomu ignorantów, by ich na temat muzyki puczyć.

Ludzi trudniących się zawodowo muzyką, czy posiadających w tej dziedzinie wykształcenie, jest w społeczeństwie stosunkowo mało. Otrzymała większość — to odbiorcy muzyki (wyluczając tych nielicznych absolutnie niewrażliwych na tę piękną sztukę). Uczony i człowiek teatru stanowili w programie „O muzyce mówią” jak gdyby reprezentację armii melomanów, którzy często nieświadomie, ale przecież przeżywają muzykę, ba! potrzebują jej jak pokarmu. Uważam, że sama koncepcja takiego właśnie programu jest znakomita. Cenię wszystkie formy popularyzacji wiedzy o muzyce, ikwidowania panującego w tej mierze analfabetyzmu. Telewizja nasza dopracowała się udanych programów pouczających, jak choćby te prowadzone przez Jana Krenza lub Janusza Cegiełę. Ale czy zawsze programy mówione o muzyce mają się sprowadzać do szkółki?

Przykład rozmowy z Kotarbińskim i Hanuszkiewiczem wskazuje na możliwość innej z gruntu formy przybliżania muzyki do szerszych warstw społeczeństwa. Żaden z rozmówców nie podjąłby się z pewnością wykładów na temat muzyki, mając inne zainteresowania główne. A przecież w życiu ich, tak jak w życiu prawie każdego z nas, muzyka odgrywa ogromną rolę. Hanuszkiewicz próbował podkreślić bezinteresowny charakter słuchania muzyki. Zaraz się jednak z tego sformułowania wycofał.

Taki słownie bowiem swoista interesowność czynności określanej jako słuchanie muzyki. „Interes” polega na zaspokajaniu pewnej psychicznej potrzeby. Potrzeby wruszeń, odprężenia, relaksu, rozrywki, nawet rozładowywania kompleksów. Kotarbiński stwierdził w pewnym momencie rozmowy, że bez muzyki życie ludzkie byłoby uboższe, straciłoby ważny element.

Niezwykle interesujące były również wypowiedzi Profesora na temat muzyki współczesnej i na temat mechanicznego przekazu muzyki, tak bardzo dziś rozpowszechnionego. Jako przedstawiciel pokolenia wychowanego na innej muzyce podkreślił, że w muzyce współczesnej istnieje przewaga rytmu nad kantyleną, śpiewnością. Jednak z prawdziwą tolerancją humanistą dał Kotarbiński wyraz postawie doceniającej współczesne poszukiwania twórcze, a także ważną rolę kulturową muzyki mechanicznej.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



PIERWSZYM wrażeniem jakie wywołuje się po obejrzeniu tego filmu jest uczucie zaskoczenia. „SPRAWA HONOROWA” (reżyseria: Luigi Zampa, zdjęcia: Carlo Di Palma), barwny film produkcji włosko-francuskiej rozpoczyna się jako lekka, satyryczna komedia traktująca stosunki społeczne i obyczajowe na Sardynii jako „dzikie Południe”, ale pokazane z dystansu spojrzenia satyryka. W miarę rozwijania się akcji uśmiech na ustach widza staje się coraz rzadszy, aż wreszcie ostatnie sekwencje wstrząsają ponurym, tragicznym dramatem. Nie wiem czy ta niejednoznaczność stylu była przez doświadczonego przecież reżysera zamierzona, czy też temat prze-

rosł zamierzenia i bez woli realizatorów przemienił komedię w tragedię.

Zdobycze cywilizacji, kultury materialnej dotarły do Sardynii, w dalszym jednak ciągu panują tam anachroniczne normy obyczajowe od wieków nie zmienne: terror mafii, przez pokolenia ciągnące się spory rodzinne, które rozstrzygnięte może tylko nóż. Krwawe porachunki — to prawo obyczajowe rządzące wyspą. Bezsensowności tego kodeksu honorowego nie mogą przeciwstawić się nawet ci, którzy nie chcą się więcej mścić, którzy chcą żyć spokojnie. Praktycznie połowa mieszkańców miasteczka przebywa w więzieniu lub kryje się w górach, ingerencja policji jest raczej gro-

teskowa, polega na nadzorowaniu każdego podejrzanego o to, że zamierza dokonać kolejnego aktu zemsty.

W przypadku głównego bohatera bezsens i okrucieństwo rodzinnego „kodeksu honorowego” doprowadzone są do absurdu. Opinia społeczna domaga się od niego, by zabił żonę, która zaszła w ciążę pod jego nieobecność. On zaś wiedząc, że dziecko jest jego, nie może przyznać się do pobytu na wsi w owym czasie z obawy przed policją i aresztowaniem. Jak ten konflikt rozwiązał — nie powiem, by nie pozbawiać czytelników emocji podczas oglądania filmu.

Mimo niejednoletniej stylizacji film jest ambitny, interesujący i wstrząsający, mimo, a może właśnie dlatego, że autorzy unikają wszelkich komentarzy, operując jedynie faktami. „Sprawa honorowa” rozgrywa się w pięknym autentycznym plenerze sardyńskim, daje okazję do zapoznania się z wieloma sardyńskimi obyczajami ludowymi, które przetrwały od lat, a dla nas są całkowitą egzotyka.

Parę głównych bohaterów kreują: Ugo Tognazzi, którego specjalnością aktorską są typy ludowego spryciarza. Tu z powodzeniem gra chłopca o mocnej głowie, ale tylko w sensie dosłownym, fizycznym. Jego partnerką jest interesująca, operująca oszczędnym aktorstwem Nicoletta Rangoni Machiavelli.

Może dlatego, mimo całego nieprawdopodobieństwa tej historii, film cały czas trzyma w napięciu, a nawet chwilami wrusza (sama wruszyłam się parę razy). Lubimy przecież od czasu do czasu obejrzeć jakąś ładną, nieprawdopodobną i wruszającą historię, która może mogłaby się zdarzyć gdyby świat miał więcej fantazji, a ludzie więcej szczęścia.

Może dlatego, mimo całego nieprawdopodobieństwa tej historii, film cały czas trzyma w napięciu, a nawet chwilami wrusza (sama wruszyłam się parę razy). Lubimy przecież od czasu do czasu obejrzeć jakąś ładną, nieprawdopodobną i wruszającą historię, która może mogłaby się zdarzyć gdyby świat miał więcej fantazji, a ludzie więcej szczęścia.

ZASTĘPCA



FILM produkcji angielsko-kanadyjskiej „SIDLA” (reżyseria: Sidney Hayers, zdjęcia: Robert Krasker)

jest typową pozycją wakacyjną. Rzecz dzieje się w połowie ubiegłego stulecia w Kolumbii Brytyjskiej wśród traperów polujących na dzikie zwierzęta i handlujących ich skórą. Głównym bohaterem jest wyjątkowo odważny, sprytny i dziki traper, któremu kupiec sprzedaje dziewczynę za żonę. Dziewczyna jest niema, straciła mowę w czasie napadu Indian, którzy zamordowali jej matkę, nienawidzi przemocy i zabijania, nienawidzi swego męża. I tak na tle przygód, które niesie za sobą polowanie na dzikie zwierzęta, w pięknej scenerii autytonicznego pleneru kanadyjskich rezerwatów leśnych toczy się walka traper-

o byt i zdobycie uczucia dziewczyny, którą kupił za tysiąc dolarów.

„Sidla” miały podobno ambicje pokazania życia traperów, trudnego i ciężkiego, ówczesnych obyczajów, z których najdziwniejszym jest handel żywym towarem — wykupywanie przez traperów kobiet z kolonii karnych — na żony. W gruncie rzeczy jednak jest to romans przygodowy w Eastmancolor i Panavision, czyli barwny i panoramiczny. A może raczej jest to „melodramat na dziko”. Jest to bowiem klasyczny melodramat, zrobiony według określonego schematu, wiadomo oczywiście, że zakończy się happy endem, że dzięki mężczyznom okaże wreszcie wiele subtelności, a subtelna dziewczyna siłą i hartem zajdzie

potrzeba i że wreszcie pokocha swego tyrana. Film niejednokrotnie ociera się o granicę kiczu, nigdy jej jednak nie przekraczając.

Sprawia to kilka czynników. Przede wszystkim przepiękna, dzika przyroda, wspaniałe plenery, egzotyka tamtej ziemi i jej uroda. Drugim bezspornym walorem jest doskonały warsztat techniczny. Pod tym względem film został zrobiony bezbłędnie, z wielkim mistrzostwem zrealizowane są sceny polowania człowieka na zwierzęta i polowania zwierząt na człowieka, przepawy przez góry, zaśnięcie przestrzenie, przez rwące górskie rzeki. Te mroźce krew w żyłach sceny naprawdę trzymają w napięciu choć zdajemy sobie sprawę z ich

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

WYSTAWA KU CZCI DIAGILEWA

Wielkim wydarzeniem artystycznym, które przeżywał Paryż, były przez dwa dzieła lat występy baletu rosyjskiego kierowanego przez Diagilewa od roku 1909, aż do śmierci zna-



Projekt Baksta kostiumu do „Scherazady” Rimskiego-Korsakowa

komitego choreografa w Wenecji w roku 1929.

Siergiej Pawłowicz Diagilew urodził się w 1872 roku. Z początku zamierzał poświęcić się karierze muzycznej, ale nie osiągnął na tym polu specjalnych sukcesów, stał się za to świetnym organizatorem widowisk teatralnych, operowych i tanecznych oraz kierownikiem słynnego baletu. On to organizował

„rosyjskie sezony” w Paryżu, coroczne występy rosyjskich artystów, koncerty symfoniczne, przedstawienia operowe i baletowe. Organizuje także wystawy malarskie, które pozwalają Francuzom poznać malarstwo rosyjskie, a Rosjanom francuski impresjonizm. To dzięki niemu Paryż oklaskuje Fiodora Szaliapina i zapoznaje się z operą Müsorgskiego „Borys Godunow”. Ale głównym zainteresowaniem Diagilewa stał się balet. Tworząc go, Diagilew zapewnia sobie współpracę słynnych kompozytorów i znakomych, artystów plastyków jak Picasso, Braque, Chirico, Matisse, Max Ernst, Miró i wielu innych. Diagilew był zawsze pełen inwencji i nowych pomysłów. Każda premiera baletowa, starannie przygotowana, była czymś nowym, oryginalnym, zaskakującym.

Ostatnio w Strasburgu z okazji 40 rocznicy śmierci Diagilewa otwarta została wielka wystawa poświęcona jego działalności. Ekspozycja tu liczne rysunki, szkice, akwarele będące projektami dekoracji i kostiumów baletowych, plakatów itd.

koncert pod gołym niebem, podzielili muzyków na cztery różne grupy umieszczając ich w pewnej odległości w ten sposób, że muzyka dobiegała do słuchacza z różnych miejsc. Obecnie na festiwalu w Menton zachowano ten sposób rozdzielając orkiestrę na kilka grup rozstawionych w różnych miejscach placu.

MOZART TWÓRCA STEREOFONII?

Paryski dziennik „Le Figaro” donoszą o festiwalu muzyki kameralnej w Menton zwraca przy okazji uwagę, że Mozarta można by uważać za właściwego twórcę muzyki stereofonicznej. Genialny kompozytor organizując kiedyś uroczysty

koncert pod gołym niebem, podzielili muzyków na cztery różne grupy umieszczając ich w pewnej odległości w ten sposób, że muzyka dobiegała do słuchacza z różnych miejsc. Obecnie na festiwalu w Menton zachowano ten sposób rozdzielając orkiestrę na kilka grup rozstawionych w różnych miejscach placu.

ŚMIERĆ AMERYKAŃSKIEJ SPIEWACZKI

W wieku lat 65 zmarła we Florencji słynna śpiewaczka amerykańska Gladys Swarthout Chapman. Uchodziła ona w swoim czasie za najlepszą na świecie śpiewaczkę operową.

DWIE NOWE SZTUKI HAROLDA PINTERA

W Londynie grane są obecnie dwie nowe sztuki Harolda Pintera, przedstawiciela angielskiego teatru absurdu. Harold Pinter urodził się w roku 1930. Z zawodu i wykształcenia jest aktorem. Debiutował jako dramaturg sztuką napisaną w roku 1957 pt. „The Room” (Pokoje), a wystawioną na scenie dopiero w roku 1960.

Nowymi sztukami granymi obecnie są „Mileżenie” i „Krajobrazy”. W „Mileżeniu” grają trzy osoby, które przez cały czas siedzą na wielkim pochylonym łustrze. Sylwetki tych trzech osób odbijają się na ekranie z widokiem sklepionych chmur. Osoby dramatu nie prowadzą bynajmniej ze sobą rozmowy, każda z nich monologuje, a mileżenie jakie często za padła ma być właśnie najważniejszym elementem sztuki. Dramat Pintera jest bowiem próbą wygrania na scenie nastrojowego milczenia, którego symbolem jest lśniący tafla lustra.

„Krajobrazy”. To także monologi, tym razem dwójga ludzi, mężczyzny i kobiety. I choć oboje leżą na plaży tuż obok siebie, Pinter chce ukazać tragiczne osamotnienie każdego z nich, nawet w chwilach ich najbardziej intymnego zbliżenia.

URATOWANE MALOWIDŁA MAXA ERNSTA

Wybitnego francuskiego poetę Paula Eluarda (1895-1952) łączyła z malarzem Maxem Ernstem serdeczna przyjaźń, trwająca od roku 1921, kiedy to poeta ze swą małżonką Galą (od roku 1935 żona Salvadora Dali) odwiedził Kolonię i nabył dwa obrazy nieznanego jeszcze wtedy, a później słynnego malarza surrealistycznego, Maxa Ernsta.

W roku 1923 malarz jest gościem Eluarda w jego willi w Eaubonne pod Paryżem. Chcąc się odwzajemnić pocie za serdeczność i uznanie, jakim darzy Eluard swego gościa, Max Ernst ozdobi ściany i sufity willi pokrywając je barwnymi, surrealistycznymi malowidłami.

To wczesne, monumentalne dzieło, sławnego póź-

Jak się to stało, że zapomniane nawet przez samego twórcę, nie odnotowywane w żadnej pracy z dziedziny historii sztuki tego okresu, malowidła zostały uratowane od zapomnienia i zagłady?

Otóż Cecile Valette, córka poetę, przystępując dwa lata temu do opracowywania księżki o swym ojcu, odwiedziła willę w Eaubonne. Pamiętała, że gdy miała 5 lat widziała barwne dekoracje Maxa Ernsta na ścianach i suficie. Jak się okazało malowidła zachowały się, ale były pokryte tapetą. Zdając sobie sprawę z ogromnej wartości (także i finansowej) tego dzieła, energiczna Cecile postanowiła je uratować. Zorganizowała więc towarzystwo, które sfinansowało prace mające na celu zabezpieczenie i przeniesienie malowideł do Paryża. Za zgodą obecnego właścici-

okazały się tylko te partie dzieła, które zamiast tapetowania, zostały zamalowane np. w łazience. Reszta (tj. 16 obrazów, w tym malowidło sufitowe a także pomalowane przez Ernsta drzwi) została zabezpieczona i przewieziona do Paryża.

Malowidła przedstawiają, tak charakterystyczny dla Maxa Ernsta, jego surrealistyczny świat: pośród geometrycznie wykreślonych płaszczyzn wędrują postaci na kształt marionetek i bajkowe, dziwaczne potworki, stopy i uszy ludzkie, oddzielone od swych właścicieli płyną lodziami po gładkiej powierzchni wód, gdzie ludzie przez otwór w murze wysuwają się ręka o dziwnie długich palcach, aby uchwycić kulisty owoc. Największe malowidło o wymiarach 2,32 m x 3,54 m przedstawia kompozycję zatytułowaną „Historia naturalna”. Widać tu czaro-



Max Ernst

Fragment malowidła ściennego Maxa Ernsta

Paul Eluard z żoną Galą

niej, a dziś już 78-letniego Ernsta, uległo zapomnieniu, gdy poeta zmienił mieszkanie.

Dopiero teraz po 46 latach i w 17 lat po śmierci Eluarda malowidła zostały ponownie pokazane publiczności na wystawie w jednej z paryskich galerii sztuki,

ciela willi przystąpiono wkrótce do prac. Ponieważ Max Ernst malował bezpośrednio farbami olejnymi na ścianach i suficie, pokryto je teraz płótnem, a następnie zdjęto razem z tynkiem. W ten sposób uratowano większą część malowideł. Nie do uratowania

dziejski, fantastyczny ogród o monstrualnych, stylizowanych roślinach, wśród których mrówkojad dźwiga na barkach swe potomstwo.

Wartość pieniężna malowideł oceniana jest na milion franków.

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

KRES
KSIĘŻYCOWEJ
MAGII

SKĄD SIĘ WZIAŁ — NAGLE ŚRÓD NOCY... —
PRZYJACIEL UBOGICH — BANAN, DZIECKO
I STRAŻ — WOLĘ ZŁOTĄ ŻABKĘ!

Właściwie nje wiadomo — czy się czy martwić. Srebrzysty stożek mknący z szybkością 6 tysięcy kilometrów na godzinę rysuje jednocześnie wyraźną linię, za którą kres magii księżycy. Był tajemniczym zjawiskiem, towarzyszył lu natykom i zakochanym, inspirował poetów i astrologów... Będzie — czy ja wiem? — słodnym kontynentem?

Jedno jest pewne. Oto je stęśmy świadkami detronizacji księżycy. To coś takiego jak gdyby naraz z pięknego śnieżnobiałego kwiatu jabłoni stało się... jabłko. Był kwiat z całym należnym mu sztafżem po etyczności — jest zwykły owoc na straganie. Niby wszystko w porządku, niby wiemy że taka jest kolej rzeczy, a jednak...

Niby wiemy że to prze-

cież naturalny satelita Ziemi odległy o 384 tysiące kilometrów, że brak wody, że pył wulkaniczny, że astronauta ważący na Ziemi 90 kg na Księżycu ważyć będzie zaledwie 15 kg... To wszystko wiemy i od roku 1959 nie jest już dla nas nawet niewiadomą drugą niewidoczną twarz Księżycy. A jednak wciąż jest uosobieniem pięknej dalekiej tajemnicy. Nie wiemy nawet skąd się wziął. Czy oderwał się od Ziemi we wczesnym stadium jej rozwoju, czy powstał jednocześnie z Ziemią z jednego gazowego obłoku, czy został „pochwycony” przez Ziemię w swej obecnej postaci i „przywiązany” na zawsze — daleki przybysz z galaktyki. Nie wiemy.

Może właśnie te intrzygujące tajemnice sprawiły, że tak rozhułali się poeci

że tyle przypisali mu metafor i epitetów? Ale wart jest tego. Julian Tuwim tak pisał o księżycu uzasadniając ową poetycką popularność satelity: „Nagle śród nocy coś takiego na niebie — to tarcza, to sierp, to złote, to rumiane to w mglistym czepku, to jak mroźna kula, to wiek sze, to młodsze, to z jednej strony, to z drugiej...” Prawda — nie ma nic piękniejszego na niebie.

Alé kończy się jego królestwo. Platoniczna miłość sprowadzona do „chaty”. Niby zyskujemy nowe elementy, a jednak... Przeszliśmy wdychać do księżycy, bo będzie to wdychanie do aparatury, do półprzewodników, tranzystorów, anten — do ludzi wreszcie.

Kończy się księżycowa magia. W Japonii podczas jesiennej pełni najubożsi mają prawo... kraść ryż i fasolę a księżycę dobroliwie przyzywa oko. Czy ludzkie prawa ładujące tam na księżycu będą równie pobłażliwe? W Japonii księżyc nazywano przyjacielem ubogich — oświeślał im drogę i pozwalał kraść ryż. Czy zostanie przyjacielem także wówczas, gdy opanują go ludzie?

Kończy się księżycowa magia. Więc może na pożegnanie ta garść metafor poetyckich?

Króluje wśród nich, mickiewiczowski „srebrny król nocy”. I jeszcze „okno, któredy dzień schodzi”. A Juliusz Słowacki nazywał go — „pierścionkiem Diany”, „słońcem umarłych”, „lampą kryształową”...

Księżyc — dziś ciemny, jutro polyska jak sierp, potem szerszy jak nóż kuchenny, potem nadkrojony jak bułka chleba, z której kromkę zetniemy, potem du kat jasny i okragły — i znów się ścina, zmniejsza i ciemnieje”. To Józef Korzeniowski. Pięknie też pisał o nim Leopold Staff: „ciemny dokument nieba z pieczęcią księżycy” — albo — „cienkie podkręca wąsik, choć ma pod nosem mleko drogi mlecznej”.

Do „wyglętego banana” przyrównywała go Jasnorzewska - Pawlikowska, „dzieciłem wieczora” był dla Seweryna Goszczyńskiego, „strażą Boga na niebie sklepienia” dla Tuwima... Dostojne i wzniosłe to metafory — nie bar dzo natomiast wysilił się Przybysz nazywając księżyc „nieprawdopodobnym”.

Albo ta strofa Leśmiana:

„To niepoprawny istnienie więc poeta, znawca mgieł i wina nadskakujący snem manowiem

wieczność śpiewna krząta nina.”
Dla Gałczyńskiego był „srebrnym lwem z platyny”, dla Jesienina „złota żabka” — dla wszystkich poetów był piękną tajemnicą godną zachwyty i metafory.

A dziś? Mój Boże — francuski poeta Alain Bosquet pisze o nim, że „jest etapem w naszym wędrówkach wiodących do innych księżyców”. To oczywiście prawda, ale wolę „złotą żabkę” od „etapu”.

Ale niestety — wyrok jest nieodwołalny. Kiedy księżyc zabzyka czułkami anten, kiedy zamigocze na kontrolnych ekranach w Houston i na Syberii — poeci poszukają innych księżyców. Bowiem potrzebne są wędrówki w kosmos — ale także potrzebna jest nam wszystkim odrobina poetyckiej magii.

JERZY WIDOK

Bez strachu

CALY CZLOWIEK

— Co robisz teraz?

— Mam urlop. Slucham muzyki i opalam się na balkonie. Pół godziny jedna, pół godziny druga strona, łącznie godzina opalania dziennie.

— Nie rozumiem, dlaczego opalasz sobie plecy. Twarz i piersi to jasne — to widać, ale po co opalać plecy? Tego nikt nie widzi, więc cóż masz za pożytek. Co do mnie opalam tylko twarz — to wszyscy widzą.

— Przecież ty, cały ty to nie tylko ty co ludzie widzą, ważne jest żebyś cały był opalony, nawet jeżeli pokazujesz tylko opaloną twarz. Możesz być opalony wtedy nawet kiedy nikt nie będzie widział twojej twarzy. Ludzie nie widzą cię opalonego, ludzie w ogóle cię nie dostrzegają, a tym pomimo to jesteś opalony i istniejesz, nawet wtedy kiedy wszyscy zapomnieli o towarzystwie. Czy sądzisz, że to że jesteś dostrzegany pomnaza twoje istnienie? Jeżeli nie widzi cię nikt nie istniejesz, jeżeli dostrzega cię kilku ludzi istniejesz w względny stopniu, a jeżeli dostrzega cię tysiąc osób, ogromniejesz w istnieniu? Dostrzegany, czy nie dostrzegany jesteś bytem pojedynczym. Nikt cię nie pomnoży — jesteś dla siebie i opalasz więc dla siebie. Bądź więc całkowicie i cały się opalaj.

— Przepraszam, jeżeli na przykład śpiewam i słucha mnie tysiąc osób to jestem w pewnej mierze pomnożony. Jestem w słuchu, we wzroku, w wyobraźni i w pamięci każdego z tysięcy słuchających. Nawet kiedy ide ulica i ukazuję opaloną twarz — najeżenie pomysli: „Ach, jak pięknie opalony człowiek”. Pomyśli tak nie wiedząc, że pod ubraniem jestem biały jak płótno.

— Uznajesz „pomnożenie” w jakiś niecielesny, psychiczny sposób, nawet przy tym założeniu w wypadku opalenizny „pomnożenie” będzie nie tylko „bezciesne” czysto psychiczne, ale kłamliwe, oparte na oszustwie. Co do śpiewu to oszustwem będzie ta śpiew szpetny, natomiast pewną „psychicznie pomnożoną” prawdą śpiew piękny — ponieważ śpiew prawdziwy to śpiew piękny.

— Falsz nieznanym nie jest zaprzeczeniem prawdy. Prawdziej zaprzeczają tylko fałsz rozpoznany i publicznie ujawniony. Nie rozpoznani fałszerze czynili dzieła prawdziwe, a ci którzy czynili dzieła prawdziwe i zostali powszechnie okrzyknięci fałszami zostali istotnie fałszami, bowiem tak mwi o nich opinia publiczna.

— A jeżeli za sto lat opinia społeczna rozpozna prawdę dzieł rzekomych fałszerzy?

— Nie mam już czasu. Niech o to się martwią opiniodawcy różnych epok. Idę pod słońce, aby opalić twarz.

— A ja udaję się w ustronne miejsce, aby opalić każdy skrawek mojej skóry, nawet ten, który przez nikogo nigdy nie będzie widziany.

BERNARD SZTAJNERT

RECEPTA na Zabójstwo

Dalszy ciąg z poprzedniego numeru

Aptekarz roześmiał się głosem. — Recepta naszego tortu? Chyba bym zwirował! Jeżeli zrobicie tort w domu, to potem nie przyjdziecie do mnie, aby go kupić. Zresztą to nie ja mam receptę, ja przygotowuję tylko lekarstwa. Moja żona piecze torty w tym czasie, gdy jestem w sklepie. Nauczyła się od swej matki. To jest grecka formuła, tylko Greczynki ją znają. Radzę pani zrezygnować. Gdy będzie apetyt na tort, przyjdzie pani do mnie.

— Może pan mi powie tylko jedną rzecz: czy żona używa twarogu, czy sera?

Aptekarz wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Jaki pan jest niedobry! Ale coś panu powiem. Wszystkie przystąpiłyśmy do takiego zakładu: próbujemy przyrządzić tort na sto sposobów, a osoba, której uda się otworzyć wasz tort, otrzyma nagrodę.

Notopolis śmiał się, pewny swego.

— Powodzenia wszystkim pańom!

Wtem otworzyły się drzwi. Wszedł młody człowiek o ładnej twarzy, lecz skrzywionej bólem. Ulokował się na taborecie i jęknął: — Proszek uśmieczający i filiżankę kawy, jak naprzędzi! O moja głowa!

— Bill, najdroższy, co ci jest? — Amy zbliżyła się do męża.

— Ostrożnie, nie ruszaj mnie! — Przepraszam, kochanie. Jak tam poszło?

— Ach, zwykłe pytania policji. Lecz na pustą żółtek i z bólem głowy... Nick, proszę, szybciej!

— Dobrze, że przyszedłeś, nie muszę szukać cię w biurze. A właśnie potrzebuję trochę pieniędzy. U Swensona jest wyprzedaż, mają ładne rzeczy.

Bill zaczął lamentować.

— Amy, to nie jest odpowiednia chwila. A poza tym nie mam pieniędzy.

Amy westchnęła. Pocałowała męża, pożegnała się z aptekarzem i wyszła ze sklepu.

— Oto kawa, Bill, niech pan pije.

Bill pojął pastylkę i popił kawą. — Czy pan wie, co się dzieje? Ta kobieta narobiła nam więcej kłopotów jako

zmarła, niż wtedy, gdy żyła. Ustalono, iż wcale nie chorowała na serce i zrobiła autopsję. Dziękuję, Nick. Lepiej, żebym teraz wrócił do biura.

Przez cały poranek w sklepie Notopolisa panował ciągły ruch. Wszyscy nagle przypomnieli sobie, że potrzebna im aspiryna, woda utleniona i inne leki. Konsumpcja kawy i tortu osiągnęła niebawem rekord. Języki ani na chwilę nie spoczywały. Nie wykryto jednak nic nowego.

Następnego dnia rano, kiedy Notopolis szedł ze stertą tortów, spotkał policjanta, który go oczekiwał przed apteką.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał grzecznie aptekarz.

— Chciałbym, aby pan nie otwierał jeszcze sklepu dla klientów i odpowiedział mi na kilka pytań. W międzyczasie wezmę kawę i spróbuję pańskiego słynnego tortu. Przede wszystkim, może pan mi powie, gdzie

— Mam nadzieję, że nie. Obecnie przesłuchamy pana i rodziny z wejścia W, gdzie mieszkała zmarła. Dozorca zeznał, że nie widział żadnej obcej twarzy.

— Ale dlaczego ja? Nie mieszkam przecież tam.

— Pan ma najłatwiejszy dostęp do truchła. Są jeszcze inne przyczyny. Gdzie pan był w poniedziałek wieczorem?

— Zamknąłem sklep o godzinie 10, lecz zatrzymałem się wewnątrz, aby zrobić inwentarz.

— Świadców pan nie posiada, prawda?

— Istotnie, żadnego świadka.

— Następne pytanie. Powiedziano mi, że tort państwa jest jakiś specjalny, że nie chce pan dać nikomu recepty i można go jeść tylko tutaj. Czy tak?

— Tak. To nasza specjalność, tort na sposób grecki. Nazywa się Yaurtoepita.

— Panie Notopolis, obawiam się, że narobił pan sobie kłopotów. W poniedziałek wieczorem był ktoś u panny Carpenter. Na stole kuchennym znaleźliśmy dwa talerzyki, a na nich resztki tortu, podobnego do tego, który przed chwilą zjadłem. Ponieważ pan nie pozwala klientom zabierać tortu do domu, jest dla mnie jasne, że to pan zaniósł tam ten tort. Lekarz zapewnia, że trucizna znajdowała się w tortie. Jeszcze robią analizę.

— Mogę zdać w stu procentach rachunek ze wszystkich truchłach posiadanych w aptece. Moje rejestry są zawsze w doskonałym porządku.

— To nie wszystko. Wiemy, że



nie zawsze idę do domu bezpośrednio po zamknięciu sklepu. Czasem mam chęć na pokera. Istotnie w poniedziałek wieczorem byłem u przyjaciela na partyjce. Żona gniewałaby się, gdyby o tym wiedziała.

— Dobrze. Czuję, że tracę pojeżdżanego nr 1. Proszę mi podać nazwiska osób, które wówczas grały z panem. Skontroluję.

Pan Notopolis obserwował ze smutkiem policjanta, który oddał się i nawet nie zapłacił za porcję tortu.

Wieczorem oficer śledczy powrócił. — Pięć osób zapewnia, że pan grał w karty. Mimo to muszę zbadać rejestry. Autopsja wykryła małe wylewy krwi w jelitach. Tort był pełen Dicumarolu. Zobaczymy te rejestry.

Pan Notopolis wyciągnął rejestr truchłach. Zdał dokładny rachunek z każdej pastylki Dicumarolu nabytej w ciągu roku. Tyle wziął ten klient, tyle tamten, tyle w zapasie na półce.

— Widzi pan? — rzekł do policjanta. — Mam wielu klientów, którzy biorą Dicumarol. Teraz jest bardzo popularny.

— Widzę, owszem. I upewniam się, że to nie pan.

Gdy policjant oddał się, Notopolis pokręcił się jeszcze trochę po sklepie. Jak zawsze, w porze obiadu, nikt nie przychodził. Nareszcie aptekarz mógł zatelefonować do żony.

— To ja, czy masz trochę gotowych tortów? Wieczorem mogą być potrzebne, dziś przyszło więcej osób niż zwykle. Słuchaj, a może byś mi je przyniosła tutaj?

Notopolis nie mógł doczekać się tej chwili, gdy będzie sam z żoną. Zjawiała się niedługo z trzema tortami. Usiedli oboje

przy ladzie i popijali soczysty napój, który przygotował aptekarz. Notopolis zapoznał żonę z ostatnimi nowościami, opuszczając naturalnie wszystko, co miało jakiś związek z pokerem.

— Do czego służy ten Di..., jak to nazwał?

— Dicumarol. To jest środek przeciw krzepnięciu krwi. Lekarze przepisują go chorym na serce, aby zapobiec ewentualnym skrzepom. Zastosowany przez osobę zdrową bardzo szkodzi, gdyż tak rozcieńcza krew, że przenika przez ścianki naczyń włoskowatych. A teraz pytanie: kto mógł przygotować tort, podobny do naszego i poczęstował nim pannę Carpenter?

Żona aptekarza głęboko westchnęła. — Sympatili do tej kobiety nikt nie czuł, niestety. Ale kto mógł ją nienawidzić do tego stopnia, aby zabić?

— Portier nocny mówi, że nie sprostęgi, aby ktoś obcy kręcił się w okolicy budynku, w którym ona mieszka. Ja zainteresowałem się lokatorami z tego samego piętra.

— Czy ktoś z nich brał Di..., to lekarstwo na krew?

— Tylko jedna osoba. Lecz wszyscy inni mogli łatwo zaopatrzyć się w tubkę.

— Kto je używa?

— Kirsten Schmidlapp, inwalidka, która mieszka w mieszkaniu leżącym naprzeciw tego, które zajmowała zmarła. Spędza życie w fotelu na kółkach, ponieważ ma serce w opłakanym stanie. Lekarz trzyma ją tylko Dicumarolem. To dzielna kobieta, wszyscy ją bardzo lubią. Sąsiedzi często ją odwiedzają i ktoś z nich mógł wziąć z sobą lekarstwo. Szczególnie jej brat. On to właśnie znalazł trupa.

— Ależ tak, masz rację!

— Carpenter zmuszała go do różnego rodzaju postug, na przykład do codziennego przynoszenia gazet. Ustawicznie groziła, że go zwolni. Lecz nie wierzę, że Steve jest tak przebiegły, aby przygotować tort z Dicumarolem. Między innymi, jak mógłby skłonić pannę Carpenter, żeby zjadła ten tort? No i nie pozwoliłaby mu na taką poufność, jak zasładywanie z nią razem do stołu.

— Kto jeszcze mieszka na tym samym piętrze? Wagnerowie?

— Tak. Bill zostanie teraz administratorem, jak sądzę, i otrzyma wyższą pensję. Bardzo mu to potrzebne, jego żona ma dziurawą rękę. Ten biedak upija się, aby nie myśleć o wszystkich rachunkach, które musi płacić. Przypomniałem teraz sobie, że przed ślubem z Amy był zakochany w pannie Carpenter. Zmarła była piękną kobietą, każdy to przyzna.

— Jak myślisz, czy mogła grozić Billowi, że wszystko opowie jego żonie?

— Czyż mogło interesować panią Wagner to, co robił mąż przed jej poznaniem? Ja cię nie pytam o twe dawne sympatie, a na pewno je miałeś — zakończyła pani Notopolis.

Aptekarz podziękował żonie pocałunkiem.

— Kto jeszcze pozostaje? — zapytała.

Notopolis wyciągnął nową kartkę z kalkulatora w swoim mózgu. — Państwo Paiano. Stałe kiócił się z administratorką. Nie..., mogłoby jej przedziurawić czaszkę w momencie wściekłości, ale nie pomysłiliby o truci.

— I co dalej?

Dokończenie nastąpi

spektakle tygodnia

| | Liczba spektakli | widzów | proc. |
|-----------------------------------|------------------|--------|-------|
| TEATR WIELKI | | | |
| „Jeziro łabędzie” | 1 | 832 | 70 |
| POWSZECHNY | | | |
| „Kawior i kaszanka” | 3 | 1401 | 70 |
| „Czarna komedia” | 2 | 1002 | 75 |
| „Radziwiłł, Panie Kochanku” | 2 | 892 | 65 |
| NOWY | | | |
| „Szkoła żon” | 2 | 706 | 50 |
| „Życie jest snem” | 2 | 1058 | 75 |
| „Dziś do ciebie przyjść nie mogę” | 2 | 1400 | 100 |
| MAŁA SALA | | | |
| „Bliski nieznamy” | 2 | 360 | 90 |
| W. JARACZA | | | |
| „Ballada o tamtych dalekich” | 4 | 1260 | 56 |
| „Ania z Zielonego Wzgórza” | 2 | 960 | 70 |
| 7.15 | | | |
| „Jadzia wdowa” | 2 | 736 | 88 |
| „Paryżanin” | 2 | 840 | 60 |

pan przebywał w poniedziałek wieczorem między godziną 8 a 12?

— Dlaczego chce pan to wiedzieć?

— Mamy już wyniki autopsji panny Carpenter. Nie umarła śmiercią naturalną. Dlatego mu simy wszystkich przepytwać.

— 506 rodzin w Briarcliff Gardens?

któś przechodził koło pana sklepu około godziny jedenastej wieczorem i nie widział żadnego światła. Żona pańska zeznała, że pan wrócił około pierwszej. Jeżeli nie był pan w mieszkaniu Ethel Carpenter — to gdzie? Trudno robić inwentarz po ciemku.

Notopolis poczerwieniał.

— Żona nie wie o tym, lecz

jałni uzdrawiających wód dymią kofły z asfaltem, wejście zabite deskami, kto chce pić, musi stać w kolejce przed salą koncertową i czekać, aż orkiestra skończy wiankę. Gdy skończy — funkcjonariusz pozwoli przemknąć się przez salę koncertową do pijalni. Ci ludzie cały rok już czekali na możliwość popicia Sniadeckiego, po to tu przyjechali, to jest racja istnienia Kudowy. To nic, niech poczekają na deszczu jeszcze kwad rans.

Gdy pogoda nie sprzyja, chciałoby się posiedzieć gdzieś przy kawie, z gazetką w rękę. Gdzie? W „Piekietku”. Ciasno w tej piwnicy, ciemno i szafa grająca działa bez przerwy... Niech by tam przyszywało, ale młodzież lubi głośno. Co chwilę podchodzi młodzieńcy z baczkami i podkręca na pełny gaz. Ściany się trzęsą. Ale piękna czytelnia klubowa się robi. Przecież dopiero czerwiec, no — powiedzmy — połowa lipca. W klubowej czytelnicy malarze rysują palcem cowboyów na szybach, stolarze heblują boazerię. Kawiarnia też się robi. Kosmiczna. Wszystko tu nie byle jakie. Kawiarnia „Kosmiczna” (w przebudowie), wielka restauracja „Kosmos” (w remoncie), bar „Kosmos” (tylko dla gości hotelu „Kosmos”). A jedyna czynna oaza gastronomiczna to bar „Mały”, agencyjny, obłożony przez wycieczki „mały”, ale gościnny. Prawda, jest jeszcze „Zdrojowa”, ale tam kelnerzy nie wpuszczają. Krzyczą, ledwie się w progu pokażesz.

A pewnego pięknego poranku, w samej połowie lipca, pstryk — i obraz radykalnie się zmienia. Przez jeden dzień z nocą wszystkie alejki w parku pokryte asfaltem, cała Kudowa pachnie smolą, chodzi się po gorącym a elastycznym pod

kładzie, ślady zostają, „chciałbym i ten ślad na drogach ocalić od zapomnienia”. W piątek — bagno, w sobotę — dywan przepięknych kwiatów. Wśród kwiatów wysoki postument z popieraniem Moniuszki, właśnie go się owija szczerze flagą państwową, żeby w niedzielę odwinąć, przeciąć wstęgę, odegrać co trzeba. W „Kosmosie” dancing do rana, z występem mistrzów estrady, „Kosmiczna” się otwiera, fontanna szumi, to purpurowa, to błękitna, w sklepie uwarzywym są nawet pomidory. Wprowadzić zabrano z parku wszystkie lawki co do jednej, będą potrzebne gdzie indziej. Za to w pijalni wystawa pamiętek po Moniuszce, a w teatrze smutny Załucki. Jeszcze się pucuje szyby w klubie prasy, jeszcze trzydzieści kobiet gracze ścieżkę przed szaletem, a oto otwiera się sprzedaż karnetów na moniuszkowski festiwal. Kudowa wkracza w swój tydzień, jak Nicea — w karnawał, jak Meksyk w olimpiadę, Poznań w Międzynarodowe Targi, Opole w piosenkę.

To bardzo ładna sprawa i — jak się okazuje — mobilizująca. Szkoda, że właśnie urlop się skończył. A może i nie szkoda, bo a nuż by się za tydzień okazało, że cały ten areywuśteczny porządek wystarczył akurat na tydzień, może potem kwiaty się zabiera do magazynu, zbyt pośpiesznie kładziony asfalt sam się rozejdzie na podszewkach tysięcy przechodniów, fontannę zakręca na resztę roku, kosmiczne lokale zamkną się celem uzupełnienia remontów, pomidory przez staną dowozić? Tylko Moniuszko zostanie, i może go nawet nie trzeba będzie odwracać twarzą do tu, to tam, jak w naszym parku kolejowym...

ĆWIEK



Lewym
okiem

PEL尼亚 SEZONU

Klimat mamy u nas na tyle nierówny, że może być nie może o jakimś równomiernym rozłożeniu na cały rok czy choćby na większą część roku masowych ruchów urlopowo-turystycznych. Znacznie ostrzej niż w innych szerokościach geograficznych występuje więc szczyt, pełnia sezonu, wyrój. Normalną konsekwencją takiego stanu rzeczy powinno być jak najlepsze przygotowanie ulubionych okolic rekreacyjnych i uzdrowiskowych na przyjęcie i obsłużenie szczytu. Czasu mamy w wielomiesięcznym marnym sezonie aż nadto. Niekiedy nie dostaje energii, talentów, ochoty i pieniędzy, ale są to jak wiadomo czynniki obiektywne i nic się na to nie poradzi. Czerwiec to już chyba sezon? Bo jak nie, zostanie nam tylko lipiec z sierpniem i nie zmieścimy się wszyscy na raz w pociągach i sanatoriach. Nie jest niczym winą, że w czerwcu pada deszcz. Szkoda tylko, że gęste tłumy wczasowiczów skaczą w pięknej Kudowie Zdroju z kamienia na kamień po rozbebeszonych ulicach, że w parku schodzi się z jedynej alei wprost w przetrane traktorami błoto, że przed wejściem do pi-

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (redaktor techniczny), Konrad Frejlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Włodzimierz Stokowski (z-ca red. naczelny), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi, Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-78, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 30, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1010. VII. B-12.